Mira Łuksza

Życie pozagrobowe i inne

Życie pozagrobowe i inne

Matka wpadła na dwa tygodnie przed siedemdziesiątką.
Zapłacić mandat za jazdę na gapę poleciała do kasy miejskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego od razu nazajutrz. Zula była przeciwna: z urzędnikami jak się nie pokłócisz, to ci wejdą na głowę. Ludność Białegostoku cicha jest, nieswarliwa, władzę szanująca, władza wie o tym, i wykorzystuje tę przypadłość tutejszego narodu. Ale Zula wie swoje, nie darmo ukończyła studia socjoterapii i psychoterapii. Gdy twarz w mundurze czy za biurkiem zaczyna krzyczeć, Zula wyciąga wszystkie swoje rejestry. Pękają szklanki z biurową herbatą, a z ostatniego piętra zbiega ochroniarz z odbezpieczoną bronią. Ale nie będziemy rozważać o przewadze sopranu Zuli nad szeptami gawiedzi, bo to jest opowiadanie do czytania, nie możemy wdawać się w zbędne dywagacje i przydługie opisy krasy naszego krajobrazu, a matka była na początku, a razem z nią słowo. Zulina matula Nastula, lat już siedemdziesiąt z hapluczkiem po wspomnianej na wstępie historii z jazdą na gapę z Białostoczku na osiedle Bema, zakończonym niesławnym zapłaceniem mandatu w biurze miejskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego przy Składowej, pojeździła bezpłatnie krótko i nieczęsto. Emerytura cieszyła ją też nie za długo. I choć nie lubimy uśmiercać bohaterów od razu w pierwszym akapicie, a potem jest jeszcze trudniej, bo już ich możemy polubić bądź znienawidzić, nie wypada nie wspomnieć o tym, że nieodżałowana pani Anastazja Katerko odeszła w zaświaty. Stan pośmiertny naszej matki czterdziestoletniej bohaterki Zuli, niestety, nieboszczki (wiadomo, o kim mowa) w zasadzie mało jest związany z tytułem opowieści, bo to my, pozostali przy życiu, przebywamy nie w grobie, a poza nim, więc życie nasze jest, tak czy nie, ni mniej ni więcej, jak tylko i wyłącznie pozagrobowe.
Zula Katerko znów przyniosła do domu cudze zdjęcia. Wywalili je zapracowani ludzie z otynkowanego na biało budynku na rogu ulicy

Mazowieckiej. Zula rzuciła pękate koperty do swoich misiaczków i laleczek, znalezionych na ulicy, z wyłupionymi oczkami i urwanymi łapkami, utytłanych kiedyś w błocie i kurzu. Oczyszczone i podleczone znaleziska siedziały na półeczkach i pufkach, które Zula sama zmajstrowała z tektury, deszczułek i kawałków styropianu i zabudowała nimi swój mały pokoik. Oprócz wąskiego acz bardzo długiego tapczanu (na Zuliną miarę) stał tu jeszcze wiecznie włączony komputer, a na jednej ścianie na łańcuchu zwisało spod sufitu do samej podłogi markowe odzienie, zdobyte w ciuchlandach. Zula ubierała się dobrze. A z resztek szyła piękne stroje niedawno kalekim uratowanym lalom.

Zula rozsypała cudze zdjęcia na kanapę.

— To Sawiccy, a to Kozłowscy — przedstawiła lalkom poważne twarze w sepii i czerni. — Pani Ludwika Popławska z córkami Bronisławą i Adelą. Gotowicki Waldemar, fotografia z Petersburga. Gałecka Janina.

— Znowu to życie pozagrobowe? — do Zulinej kanciapki zajrzał jej brat Jan Kanty, wpuszczając zapach koniaku i męskiego potu. Jan Kanty, budowlaniec, na miejscu rozwalonej chałupy na rogu Mazowieckiej i Żelaznej niebawem będzie stawiać nowy budynek. Jedni mówią, że kino tam będzie, inni — że kościół. Pewnie, kościół, bo Białystok jest miastem miłosierdzia.

— Przecież nasze życie jest wyłącznie pozagrobowe! — powtórzyła Zula myśl już nam znaną.

Jan Kanty, z uprzejmą miną, przyjrzał się dorodnej dziewoi pod palmą na fotografii.

— Przypomina mi jedną laskę ze Zwierzynieckiej. Ale, pewnie, jest już nieżywa.

— Laska, laska! — skrzywiła się pedagog Zula. — W twoim wieku mógłbyś się wyrażać odpowiednio.

— Koń jeszcze starszy, a gada, jak chce.

— Ale jest to zaczarowany Koń. Zresztą, patrz, rodzina Gałeckich mieszkała kiedyś w tym domu.

— Koń zmarł dzisiaj — przypomniał Jan Kanty. — Dzwoniły dziewczyny z czarodziejskiej firmy „Dotyk”, przedstawiły się, że apostoł i księgowa są one. Masz ty, Zulka, znajomości...!

— A-a-a-a!!! — użyła swego wspomnianego wyżej sopranu Zula Katerko, choć stał nad nią jej pięćdziesięcioletni braciak, a nie urzędnik Telekomunikacji Polskiej czy miejski strażnik, łający ją za psa bez kagańca i smyczy. — Nie wierzę! O matko!
— Nie wiem, co ma do tego nasza nieszczęsna matka... Pewnie się tam spotkali. No, nie cierp sobie w samotności, naleję ci gramulka.
Zula spiorunowała wzrokiem swego kudłato-łysowatego brata, który wycofał się rakiem z jej pokoju, bo nie mógł obrócić swoich barów wyrobionych na rujnowaniu i odbudowywaniu.
— Konisku... Daj mi sygnał, że jesteś... Tam, czy tu... Zastukaj, poskrob... — Zula potoczyła się na tapczanik, na stertę zdjęć pachnących jeszcze chemikaliami, strychem i myszami. — Nie, tak nie możesz. Stać cię na coś więcej. Masz w końcu to końskie poczucie humoru!
Lalki i misie bałuszyły na Zulę swoje wyremontowane przez nią oczy. Leżała tak chwilę bez ruchu, jakby się spodziewała, że w ścianę z wielkiej płyty zastuka Czarodziej. Brzęk telefonu poderwał ją na nogi. W słuchawce łopotał wiatr, tupotały kroki, gdzieś z bardzo daleka zatrąbił samochód. I cisza.
— Znowu gówniarze dzwonią spod domofonu! — rzuciła słuchawkę Zula i weszła do Internetu. — Pogadam sobie wirtualnie, moje wy dzieciaczki.
Przed północą oderwał Zulę od komputera następny telefon. Wśród dalekich przygłuszonych rozmów, dolatujących ze słuchawki, rozróżniła kobiece głosy. Mówiono o nowych butach, bardzo wygodnych.
— Lalunie, toż to Poziomka! A to ofiara, pewnie znów się jej komórka sama włączyła! Karta jej leci, a ja słucham... Zaraz znajdę jej numer... Ależ ona w Szwecji jest!
— Skąd wiesz, że jestem w Polsce? Właśnie jedziemy do Goleniowa... A jak ty dzwonisz do mnie na wyłączoną komórkę? Tak się rozmodliłam w tej Częstochowie... Komórkę wyłączyłam dziś rano... Wybacz, że nie dzwoniłam do ciebie trzy miesiące...
— Wyłączona...? Przecież ona sama do mnie zadzwoniła. O butach mówiłyście...
— Owszem, dziś kupiłam buty, wygodne, jak kapcie, a eleganckie

jakie! Słuchaj, coś się musiało stać w Białymstoku... kiedy taką łączność mamy! Mówisz, że nic się nie stało...
— Wyłączaj swoją komórkę, Poziomka, bo znów stracisz majątek.
— Toż to ty teraz do mnie dzwonisz... A mój telefon, no, przecież jest wyłączony...
— No to jak my rozmawiamy...?!
Lalki i misie uśmiechały się swoimi buraczkowymi i różowymi ustami, namalowanymi im przez Zulę na ich pokiereszowanych steranych buziach i pyszczkach. Zula zasnęła w objęciach Uszata Kondrata. Komputer całą noc zabawiał czuwające trocinowo-porcelanowe towarzystwo karuzelą „Moich obrazów".
— Wiem, wiem, co się stało! — Zula nazajutrz chwyciła słuchawkę telefonu, obwieszczając Poziomce niewesołą nowinę o śmierci Konia, Który Wiedział.
— Zaraz, zaraz. Znów dzwonisz do mnie na wyłączoną komórkę. I nie mam ciebie na liście połączeń... I nie mam ciebie w książce telefonicznej, a mój kapowniczek został w Goeteborgu, daruj więc, że nie mogłam do ciebie sama zadzwonić... Nikt do mnie nie może się dodzwonić.
— Wiem, wiem, kto wykręcił nam ten numer! KOŃ! Dał sygnał, że jest!
Nie zastukał, nie zaskrobał, a normalnie wykorzystał współczesną technikę! Zadzwonił! Widzisz, to jest możliwe...
— Przepraszamy, ale połączenie nie może być zrealizowane — miło zabrzmiał głos operatora sieci i słuchawka zamilkła.
Na cmentarz farny Zula pojechała bez dowodu osobistego. Kto ma głowę w taki dzień myśleć o dokumentach! A w Białymstoku bilet rodzinny na okaziciela bez adresu potwierdzonego w dowodzie osobistym jest nieważny. Nielegalna jazda jest karalna. A przecież każdy człowiek jest legalny, jak mówią mury miasta miłosierdzia, i każda lalka, zgubiona i znaleziona. Jednak sopran Zuli nie zabrzmiał w ten dzień jak trzeba, jak należałoby przed kanarami. Lecz nie było wśród nich radnego Dziedzica, i odpuszczono winy winowajcom.

Pociąg

Pociąg-widmo, czyli autobus szynowy, sunie po zalewie. To z Hajnówki do Cisówki.
— Rezerwat, o — mówi Żorzyk. — A tam, o, tubylcy na motorówkach.
— Bla, ty jedź szybko do Bondar, bo ci telefon zakładać pojechali! — krzyczy ten z łódki, do tego na motorówce, przekrzykując sam siebie.
— To niech se, kurde, jadą. Ja mam komórkę.
Na brzegu Katarzyna zmusiła mnie do namalowania scenki rodzajowej pod tytułem „Rusałka znad Siemianowskiego jeziora". To o tym, jak kiedyś Aleś Barszczewski, przeskakując z torfowej kupy na kupę, zagadując wierszem, nie dał się zwieść wiotkiej nimfie z okolic Tanicy Dolnej i dać się załaskotać na śmierć, a mową wiązaną wypowiadał się do chwili, aż promienie wschodzącego słońca padły na mgławe rusałczyne ciało, jeśli to ciało było, i zginęła-przepadła ona nieszczęsna narwiańska nimfa, by teraz od czasu do czasu pojawiać się miejscowym kawalerom po wychyleniu przez nich przedniego trunku od przyjezdnych zza pobliskiej wschodniej granicy. Razem ze mną tworzyli ludzie z Telekomunikacji Polskiej SA. Wypadało więc opowiedzieć telekomunikatorom z naszej Polski całej historię i o tym, jak przyszły profesor Barszczewski, bosonóż na pylistej bondarskiej drodze, już przyspieszonym studentem będąc, chwalił się był przed dziadźką na furze z gnojem wieścią, że właśnie w dalekim Wrocławiu rozpoczął się zjazd intelektualistów, znaczy się, najmędrszych ludzi w całym świecie, i że Picasso sam tam zajechał, na zjazd ten.
— I co oni tam rają? Co tam wymyślają? I tak nic lepszego, niż p...da, wymyślić się nie da, Aleś! — strącił był spracowaną dłonią krople potu ze swego prostego czoła bondarski nieświadomy chłopina. A w swoich wierszach, przede wszystkim o miłości, Aleś dziś marzy o tym, jak bosą stopą idzie za pługiem, a za nim kroczą swojskie tutejsze zadowolone

gawrony. W to lato, gdyśmy z Telekomunikacją Polską SA pięknie malowali po okiem Katarzyny, ptactwo marło od upału, zalew Siemianówka zieleniał od sinic, na wyschnięte poletka nikt nie wołał kombajnu, a dziadźko, znający, w czym sens życia jest, milczał przydławiony lastrykowym pomnikiem na cmentarzu w Jałówce, w michałowskiej gminie. Na moim obrazku treść wyraźnie przerastała formę. Jeden z moich utalentowanych współtowarzyszy, rosły blondyn o pięknym ciele, dziergał jakąś serwetkę. Nawet od kiedy stałam się dziewczyną, nie wiem, co to haft, i działalność urodziwego pracownika Telekomunikacji Polskiej SA, faceta z kuszącą łysinką, świadczącą o intelektualnym także zacięciu, wydała mi się bardzo zajmującą, przynajmniej jego uwagę. Zdało mi się, że zawołania tubylców pośród jeziora na temat telefonizacji okolicy wzbudzą jakiś odzew wśród uzdolnionych artystycznie profesjonalistów od telefonów, ale moje nadzieje okazały się płonne. Piękno prawie bezludnej okolicy pochłaniało nawet czarniawego Lucjana z Łodzi, który wreszcie przestał nawijać o swoich perypetiach z urzędową niesprawiedliwością i gorzkim losie ojca wielodzietnej rodziny i w skupieniu malował nieobecne piękności. Nawet on! Zrolowałam swoje dzieło i wręczyłam Katarzynie, ku jej zachwytowi. Myślała pewnie, że będzie gorzej. Przynajmniej jeszcze raz wykorzystałam pasjonujący życiorys tego a nie innego profesora... Katarzyna nieobecnym okiem błądziła po połyskującej rybią łuską wodzie zalewu. Na jej rysunku te zmarszczki są takie piękne! — przemknęło przez moją zawistną myśl niedoszłej malarki. Należało się wyładować: puściłam parę kaczek po pachnącej rybą wodzie. Żorżyk dostrzegł moją wściekłą minę.

— Ty chyba głodna jesteś?

— A o mnie się nie zapytasz? — Katarzyna, umęczona robieniem śniadań i kolacji swoim podopiecznym w Nowej Łuce, w ciasnym piętrowym domku Luby Nowikowej oraz zapewnianiem im godziwej rozrywki, uniosła brwi. Jej piwne oczy straciły blask, pewnie przez ten cholerny upał. Żorżyk się ucieszył; znam Żorzyka jak własną kieszeń — w końcu Katarzyna widzi, że on istnieje! Katarzyna jednym ruchem oderwała nogawki od swoich białych dżinsów, lśniącą czekoladą łysnęły jej uda i łydki. Żorzyk przełknął ślinę. Ten cholerny upał!

— To idziemy do „Carino” — Żorzyk wsunął dłoń do kieszeni w spod-

niach. Ciekawe, ile mu pieniędzy zostało po ostatniej dyskotece, gdy stawiał wszystkich panienkom z okolicy? No, nie było ich i tak wiele, ale Żorżyk fason trzymał fest. Sam się nawet nie bardzo upił.
— Jeszcze nie pora na obiad.
— To do sklepu chodźcie, do Wincka.
Reszta artystów z TP SA ani się nie ruszyła, jak zaczarowana wpatrzona — kto w swoje papiery, kto w materiał, na którym wyrastały wyszywane kwiaty lata...
— Bułki jest? — Żorzyk z rozpaczą rozejrzał się po Winckowym sklepie. Przyjezdni wykupili wszystko, co nadawało się do spożycia natychmiast.
— Bułki jest, trzymam w lodówce. I marsy, i milkę...
— A ten... chomik... siedzi i zawija w sreberka! — ożywiła się Katarzyna. — J a loda chcę!
Język Katarzyny zawirował na polewanym czekoladą magnusie.
Żorzyk pochłaniał suchą bułkę, dławiąc się, aż mu piszczało w przełyku. Podałam mu szklaną, ekologiczną butelkę krynki. Wpatrywałam się w jego grdykę, porośniętą czarną szczecinką, poruszającą się z każdym łykiem.
— Jaki z niego mężczyzna, popatrz, Katarzyno! Jak go nie kochać!
— Kogo? — język Katarzyny na chwilę znieruchomiał już na płaskim gołym patyczku. — Mówisz o hafciarzu? W końcu ci dogodziłam, kwaterując was w jednym pokoju!
Żorżyk odstawił na ladę opróżnioną butelkę i znikł. Szkło było ciepłe i lekko wilgotne od jego dłoni. No przecież był z nami od paru dni?!
— Ależ grzeje! — nabrałam w ściśnięte płuca gorącego sierpniowego powietrza. — Zmącić się może w głowie od takiego upału.
— Gdy rozum śpi, rodzą się upiory! — orzeźwiona magnusem Katarzyna wspomniała o sztuce. Wincek z uśmiechem podał jej oszronioną butelkę.
Profesjonaliści swojej sprawy z TP SA drzemali na wypłowiałym brzegu rozlanej w sztuczne jezioro Narwi. Na motorówce właściciel komórki łowił grube ryby.
Z Cisówki przez Siemianówkę do Hajnówki po nasypie sunął szynobus.

Życie seksualne Dzikiej

Domina spotkała się z Pawełkiem w sklepie ze szmatami. Domina nie cierpi facetów, którzy chodzą po sklepach ze szmatami. No tak, bo to babska robota. Kupienie facetowi krawacika lub fajnego sweterka. Pawełek jest poważny, prowadzi etykę. Najlepiej o poważnych sprawach nie wypowiadać się w miejscach publicznych, no chyba że z katedry. Etyka jest rzeczą poważną.

Pawełek milcząc przebierał wśród tłumoków, oglądał spodnie. Prawdę mówiąc, jego wymiętolone portki nie wyglądały lepiej od kłębiących się sztruksów, dżinsów czarnych, indygowych i niewiadomego koloru, pospolitych dołów od garniturów z wywiniętymi mankietami, mocno zaprasowanymi kantami i w rurkę, jednak były jego atrybutem — tego smętnego filozofa o bladej twarzy Pierrota, z ciemnymi podkowami pod oczami, po czym się poznaje wiecznych i namiętnych onanistów. Pawełek popatrzył na Dominę i wytchnął cicho, jakby był na swoim wykładzie:

— Znam dobrego krawca w Hongkongu.

— Widzę, że nieobcy ci jest ci agent 007. Kochanie, czy mógłbyś poprzybijać mi dziś półeczki?

— Mógłbym, niezależnie od tego, co by to znaczyło.

Pawełek odstawił kosz na ubrania, zapiął guziki zielonej kurtki i ruszył do kasy za Dominą, która już przeliczała drobniaki za trzy kilogramy markowych ubrań. Wielka reklamówka z nabytkiem Dominy została zostawiona w sklepie, ponieważ oboje udawali się na uniwersytet. W sprawie przybijania półeczek umówili się najpierw w „Marszandzie". Oboje mieli tam blisko, a ponieważ Pawełek słynął ze swoich kosmicznych spóźnień, spowodowanych nagłymi zamyśleniami pośrodku chodnika, Domina też za bardzo się nie spieszyła się na spotkanie z kolegą etykiem, także elektrykiem po zawodówce i stolarzem po technikum. W wiosce spod Sokółki, z której pochodził Pawełek, nie liczyła się jego sława jako filozofa, a dobrego specjalisty w sprawach tak

niezbędnych do życia, jak prąd elektryczny i stół. Dominę podniecało w nim to, że tańczył hopaka tak zawzięcie, aż obijał sobie dłonie do krwi, i kochał się jak wariat, zapamiętale, tłukąc ją może trochę i mechanicznie, ale systematycznie, dokładnie. Jedno tylko, że preferował egipskie ciemności. Domina wówczas włączała swoją fantazję, i wszyscy byli radzi. A jeszcze w bliższej i dalszej okolicy znano także kilku kochanków Pawełka — pięknego poetę zza wschodniej miedzy o imieniu Gieorgij, uczonego asystenta Józia i innych.

Domina na uniwersytecie miała jedynie kupić bilet miesięczny na miejskie autobusy. Od kiedy kolega Nazar zajął się tą wypłowiałą studenteczką, obcałowująca wszystkich po kolei z tych, kto mógł jej umożliwić jakąkolwiek karierę, Domina nie zachodziła już na wydział gadano-pisany jak tylko odbębnić swoje pięć minut ze studentami orientalnej filologii. Z Nazarem, prawda, lepiej się było spotykać poza murami, na których kiedyś ktoś wymalował „Łaszewiczu towarzyszu, cen nam więcej nie powyszaj." Wiadomo, wszystko i tak poszło na Profesora, wtedy jeszcze dziennikarza skromnego tygodnika, słynącego najbardziej z bujnych kształtów urodziwej szachistki w fioletowym kożuszku, której śladem po zaułkach stolicy Podlasia snuła się smuga orientalnych perfum i między murami rozlegały się westchnienia oczarowanych Agittą chudziaków. Domina zawsze pamiętała o doświadczeniach Agitty. Nie posiadając aż takich przeważających argumentów, jak piersi Agitty, ani ciągot do zwalających na kolana zapachów, nie mówiąc o legendarnym kożuszku, nie mając także zasług Profesora w związku z obaleniem systemów wszelkich, nie chciała wszakże pozostać z boku i przejąć pałeczkę po seksymbolach pokolenia jej rodziców, prostej włókniarki i chłoporobotnika z Fast. Jak się ma nazwisko — to jest już połowa sukcesu. Domina Dzika. I potem to wszystko opisać. Zanim utwór powstanie, rozpalić do białości oczekiwania czytelników. Wiadomo, ma to być powieść z kluczem. Pikantnie doprawiona. W sumie babska, ale tak, jakby ja facet napisał. Po męsku. O, gdyby Michałko Żuber zechciał pisać prozę, gdyby w ogóle zechciało mu się pisać... Domina siedziała była dwa miesiące temu obok Żubera w „Marszandzie", czuła przez skórę tę jego niechęć do pisania i do gadania, i w ogóle do tych papierowych

głów, które widzi codziennie w swojej redakcji, do tych piwożłopów i obalaczy czerwonych psów, którzy nie mogą stać się bohaterami nawet kiepskiego kryminału. No, może ten jeden raz. Kiedy Mirkowaty przywiózł kolesia ze swojej wioski (jak raz żonka tamtego w szpitalu się była znalazła), to pokazał to całe towarzystwo, potem opisał i wydrukował. Cieszył się cały powiat hajnowski, gorzej było w gminie Narew. A Michałko Żuber mówił Mirkowatemu, że tak i się stanie. Nie ma co opisywać rzeczywistości — najśmieszniej, zresztą, ona wygląda w gazetach. A grube książki? Któż to kupi! Może, jakie naukowe, opisy podróży... Siedziała potem Domina u Kolumba, dokąd powlekli się razem, zrobiwszy zakupy w „Ratuszowym", wszyscy razem, z osiem sztuk synów kultury i ona jedna córa, i ciągle o tych książkach tak się miło jej z Zuberem gawędziło. A tu raptem: „A wiesz ty, Domina, że my jesteśmy stworzeni dla siebie przez Boga?" — „Bóg tu, zdaje się, nipriczom!" Z samej ciekawości trudno domagać się potwierdzenia od samego Boga, że wymyślił nas dla jakiejś kosmicznej miłości. Domina rzuciła się była w obszerne ramiona Michałka Żubera, starała się z całych sił udowodnić, że jej głupi chichot w odpowiedzi na jego oświadczenie był z zupełnie innej sztuki. I wyszło zupełnie bez sensu: „Ja to mam głupie szczęście do pedałów!" Zapewne, Michałko wyglądał w tym momencie nie lepiej, zupełnie jak Pawełek, przy próbie zbijania półeczek, gdy do kuchni weszli bracia Dominy razem z jej matulą: portki jak psu wyrwane z gardła, dwie piędzi kalesonów nad paskiem, no, nie przymierzając, jak tatko Dominin przed śmiercią. Nie było gadki więcej o przeznaczeniu. A Domina gotowa była potem znaleźć się w dowolnym miejscu świata, z dowolnym debilem i paskudą, w najmniej podniecających sytuacjach, tylko żeby się nie nawinąć na oczy Michałkowi.

Tym razem siedzieli oboje przy stoliku, zaparłszy się łokciami, otuliwszy dłońmi zroszone szklanki z piwem i każde z nich mierzyło wzrokiem jedno drugie — Michałko zza okularów zielonooko świdrował Dominę, a Domina rzucała trochę spłoszone piwne spojrzenia na redaktora najbardziej niezależnego dziennika w mieście.

— Grubą? Grubą mam książkę napisać? Grube — to nie moja... domina — siorbnęła piwo dziewczyna i zachłysnęła się. — Nie idzie mi.

— Zaraz się udławisz — Michałkowi zbierało się na zwyczajną porcję zjadliwości, które zwyczajnie dobijały płeć zwaną piękną. — Rozumiem, że nie idzie ci i pisanie, i picie. Co prawda, nie wymagam, abyś stworzyła arcydzieło, bo walniesz znów coś takiego, jak twój słynny debiutancki „Oswojony mustang". No, ale podobno jesteś specjalistką od koni. Czy też koniów, jak się w twojej wiosce mówi.
— Kocham cię — powiedziała bez sensu Domina. — Mówię to bez sensu. Może ot tak, żeby cię zbić z pantałyku. Przepraszam cię.
— Nie wierzę kobietom — szybko rzucił Michałko, duszkiem wypił piwo, wcisnął na głowę zieloną włóczkową czapkę i nie zapinając ocieplanej panterki boczkiem ruszył do wyjścia. Żałował, że tym razem nie wziął rumu — w ustach pozostał kwaśno-gorzki żubrowy posmak. Domina nigdy go więcej nie nabierze na zbijanie z pantałyku. Nie dość, że wtedy zrobił z siebie durnia, dobrze przeczuwając, że i tak nie pójdzie mu jak należy — stał jak żywy nad nimi, kotłującymi się na podłodze w pustym salonie Kolumba, ten wieczny Żyd Mateusz Mosin, siąkał zakatarzonym nosem, obgryzał pazury i wykrzywiał się: „Domina jest moja, moja, tylko moja, i nic wam do tego! Nigdy mnie nie zostawi!" Pewnie, że nie zostawi tego Mosina. Już to Michałkowi uświadamiali Jaszko i Perśko. Jaszko namalował Dominę w pozie niedbałej, złośliwie podrzucił karcinę Perśkiemu. Sam pojechał do Niujorka, a teraz Perśkowa Lolita żyć temu nie daje: co robi ta rozchełstana Domina w oleju między regałami. Nie powinna się czepiać — Domina była przed nią. Tylko jak ją podzielić na trzech? Nie każdy gotów jest uciec od swego przeznaczenia aż za ocean. A to dwa miesiące wył on, Jaszko, pod jej wysokim blokiem w centrum miasta. Opinię popsuł Dominie, a tam ją znają prawie od dziecka, a radną jest osiedlową, potem startowała w niejednych wyborach. A Perśkową nie udobruchasz niczym. I tylko: „Zdejm, Perśko, Dominę Dziką ze ściany, bo mi dziecko straszysz! Nie po tom je tobie urodziła, żebyś straszył!" — „Toż ona muza Jaszkowa, nie moja!" Perśko wiedział, że z Żydem Mosinem nie wygra, mówił to nieraz Michałkowi. Domina rzuciła się była w pewną majową noc, wiadomo, dokładnie na 3 Maja, bo Perśko szczery Polak, na jego męskie wdzięki: „Kocham twój język polski!" Ale ten Żyd Mosin

i tam stał ze swym ironicznym uśmieszkiem: „I tak możesz mi naskakać. Ona mnie kocha. I kocha mojego pieska Alusia". Mosin stał w oknie sąsiedniego bloku, mrużył swoje krótkowzroczne szare oczy, to zdejmował, to tarł szkła drucianych okularów, zakładał je, znów zdejmował. Perśko myślał o nim, nalewając herbatę Dominie, liżąc jej pachnące antonówkami ciało, aż ciemniało mu w oczach od dalekich błyskawic i gwałtownej burzy, rozpędzonej za ścianą od soboru Świętego Ducha w stronę soboru Świętego Mikołaja, a dalej do Fary. Myśl o Mosinie i teraz przebijała się przez jękliwe narzekania Lolity i popiskiwanie małej Perśkówny.
— Jestem szczęśliwy — Perśko podszedł do stolika Dominy. — To jest twoja wina.
— Słyszałam, że nie pijesz, ale mi pani Tania powiedziała, słoneczko, żeś wczoraj dzwonił do żony z „Marszanda", piłeś do lustra, a mówiłeś jej, że ze mną pijesz. Co ona o mnie pomyśli! „To jest moja wina?" Cieszę się, że jesteś szczęśliwy.
— Nie. Nie.
— Nie jesteś szczęśliwy?
— Nie powinnaś się cieszyć. To ty powinnaś tam być.
— Nie rozumiem. Wybrałeś przecież. Wiesz, jak cię kochałam.
— Jesteś Dzika! Wszystkim to mówisz? Wiedziałem, że się nie możesz zdecydować.
— Mosin?? Wszystko mija. Powiedział mi wtedy, że wszystko mija, a smutek tylko wielki pozostaje po tym czymś największym... To było akurat po tym, jak uratowałam go przed nożownikami.
— Ja bym wolał ratować ciebie. Widzisz. A chwilę przedtem odkleiłem cię od Mirona. Jego też, oczywiście, kochałaś? Jeszcze chwila, a po tej twojej miłości zbierałbym go spod mostu. Co, nic mu nie obiecywałaś? O tak, pasujecie do siebie z Mosinem. Po was tylko wycie, zgrzytanie zębów i zdejmowanie zwłok ze sznurów. A gdy kto chce zacząć wszystko od nowa, wracacie jak po swoje...
Domina odstawiła pustą szklankę. Monika cicho podeszła zza baru, z uwagą wpatrywała się w jej pobladłą twarz.
— Pani Domino, może kawę?
— Nie mogę pić dziś kawy. Serce mi się telepie...

— Zaraz przyjdzie Kolumb. Sam. Pamięta pani, jak Jerzy Edward Gall mu wywróżył sukces? — Monika postawiła na stoliku półlitrową szklankę piwa. — Książkę mu wydali w Warszawie. Ludzie mówią, pani Domino, że mu to pani załatwiła. Ale wczoraj przychodziła Lusia, no, ta jego narzeczona, co ją zostawił...

— Ach, ta narzeczona! — krzywo uśmiechnął się Perśko. — Trzy lata dla takich małolatów, jak Kolumb i Lusia, to całe wieki. Ciekawe, jak ją ciupciał — ty, Domi, musiałaś się dobrze napracować, żeby z Misiurka człowieka zrobić. No i ten kop w literaturę! No, każdy chce być jedyny.

— Kochałam cię, idioto, też bardzo... — Domina czuła, jak ziębnie jej dłoń, którą położyła na pulchnej prawicy Perśki.

— No, może więcej niż Strzygonia; jego, pewnie, z litości, że umiera taki talent. Olesia — bo taki mądry i piękniusi. Mareczka — bo dobry człowiek. Buraczyński — zaradny, zabawny, i to ciało... Ten malarzyna. Razem z tuzin.

— Tuzin...? Nie liczyłam...

— No i na dokładkę — Alinka. Tego nie daruje ci żaden facet!

— Et, to tylko my tak specjalnie... Książkę razem piszemy. „Życie seksualne Dzikiej". Z ilustracjami...

— Nie wiem, czy mi wierzyć w Mateusza Mosina — Perśko skruszył w bochenku swojej dłoni literatkę. — Jeżeli go kochałaś... Kochasz... Przecież i ty, i on, nie umiecie kochać?

— Tak. Kocham go.

— To idź do niego. Przecież wiem, jak jest. Nie można zniszczyć takiej miłości. Ja, Perśko, dlatego... jestem...

Domina kończyła list. Pani Monika postawiła na stoliku zapalone świeczki. Domina czekała na Mateusza Mosina, który miał dziś wrócić z delegacji do Moskwy.

„Chciałam podziękować Ci za umożliwienie mi sprawdzenia siły charakteru i woli.

Diabelstwo opętywało Cię, chciało Cię zniszczyć, a kiedy to się nie dało, rzuciło się na mnie, bo tak naprawdę byłam dość skuteczną przeszkodą, abyś nie sczezł. O tym powiedziała mi Christa, w ten dzień, kiedyśmy byli u Ciebie z Gunnarem i Jądrusiem. Ona się na tym zna.

Sam wiesz, kiedy wydaje Ci się, że wariujesz, nie jesteś sobą. Zło gotowe było zmusić Cię do samozniszczenia. Zwątpienia. Niszczyło to wszystko, co było Ci bliskie. Gdy jesteś sam, jesteś łatwym celem. Christa kazała mi Cię chronić, bronić, choć ostrzegła, że ono będzie chciało mnie zabić, fizycznie. Oczywiście, mogłam ratować się sama, najlepiej sobie pójść i nie wchodzić złu w drogę. Ale miałam się modlić. Tylko dobro i miłość mogą pokonać zło. Rzeczywiście, dużo to mnie kosztowało (to mogło wyglądać odwrotnie — jakbym była wyjątkową ofermą, którą można trząść za fraki, a ona podstawi drugi policzek). Czasem lepiej było brać zwyczajnie nogi za pas. Uciec! Ale Bóg był ze mną, jak i z Tobą. Pamiętasz, jak byliśmy u Wałodzi przed jego wyjazdem, co się z Tobą zaczęło dziać u niego już w domu, po tym, jak byłeś świetlisty i dobry (z małym Daniłką), a potem na cmentarzu na Starosielcach? Na ulicy było jeszcze straszniej. Gdy krzyczałeś nieswoim głosem, że mnie zniszczysz, padałeś pod krzyżami. Wyglądałeś strasznie, dosłownie dwukrotnie większy, o zmienionej twarzy, strasznych oczach. Czujesz się zły, choć nie jesteś zły. Wiem, że czujesz, jak to zło Cię opętuje. Tracisz panowanie nad sobą. Fizycznie czułam to: dygoczesz, zmagasz się, rzuca coś Tobą. Czujesz tę wrogą siłę, zmagasz się z nią. Jej też chodzi o to, abyś czuł, że wprost wariujesz, słabniesz. To jest bardzo wielka siła, która śmiała zwodzić nawet Jezusa, czekała na jego zwątpienie. Pamiętaj o tym, że wtedy z Tobą jest Bóg (nie muszę Ci tego powtarzać — gdyby On nie był z Tobą, nie byłoby Cię już dawno). Ja tę wrogą siłę czułam, jej nienawiść, że odważam się walczyć dla Boga o Twoją cierpiącą i nieszczęśliwą duszę. Diabelstwo ładuje się między ludzi, szczególnie gdy widzi, że przegrywa, wali kolczaste bariery i bloki. To jest walka od tysięcy lat. Nie o byle co. Czasem największa wtedy, gdy ci, słabi ludzie, których kocha Bóg, tak naprawdę już byli lub będą jednym aniołem. Czyli są bliżsi sobie niż ktokolwiek, bo są wieczni. A najgorsze, co może im zrobić — to stracić ich samych dla siebie, kazać im zwątpić, zlekceważyć, zapomnieć, zobojętnieć, zamknąć im usta albo wcisnąć w nie nieprawdę. Zdradzić kogoś wobec innych. Zanieczyścić dobre intencje myślą o wykorzystaniu, dobrowolnym zabijaniu cudu miłości, bo nie jest się tego wartym. Albo odwrotnie. Ranienie już w myśli

drugiej osoby, widzenie jej jak siebie samej — słabej, gorszej, o nieczystych intencjach.
Naprawdę był taki moment, kiedy zwątpiłam. Myślę że wiesz, kiedy. Musiałam w sobie dużo wszystkiego przewalić, tego gruzowiska, musiało ze mnie wypłynąć dużo soli. Już wiem, gdzie jestem, po świetnym chrzcie bojowym z diabelstwem, mocna, wręcz uzbrojona! Choć nie w jakimś pancerzu. Chodzę przecież bez skóry. Wiem, jakie emocje mogą się przeze mnie przewalić, jakie bóle są nie do zniesienia i do wypalenia w sobie. Choć to już nie do wyobrażenia, jestem jeszcze bardziej wrażliwa. I dobra, lepsza. I za to mogę dziękować Bogu czy też losowi, który płata różne figle, jeśli można to tak nazwać.
Czasem mam wrażenie, że Ty walczysz z całym złem świata, że skupia się na Tobie całe to nielubienie Ciebie przez innych. Pewnie, sam sobie szkodzisz, nie lubisz lub nie chcesz wiedzieć o ludziach, siedzą w Tobie te zadawnione nielubienia, brak uwagi wobec Ciebie. Czasem wypływa to z Ciebie jak lawa, jakbyś chciał wykrzyczeć innym (mamie, pamiętam), że Cię nie tak kochają. Bijesz się czasem jak ryba o lód, a poniszczyłeś dziesiątki dobrych myśli i uczuć ludzi do Ciebie, innych ludzi za to, że chcieli Cię lubić i kochać, nieraz mimo wszystko. Jakbyś nie był tego wart. Z drugiej strony lgniesz do ludzi, czasem do potęgi rozdmuchujesz nic niewarte słowa sympatii, jakieś deklaracje w sumie mało znaczące, chcesz być niezbędny jak powietrze i słońce. Ciężko określić, jaki jesteś. Czasem zdaje mi się, że przy robieniu wrażenia wrażliwości — jesteś tylko grą, pozorami, próbą zawłaszczenia, intrygą z niejasnym celem lub konkretnie — w celu wykorzystania czegoś. Teatrem. Kiedy tak naprawdę już nie umiesz lubić, kochać, być przyjacielem. Czuję jednak, że jesteś uczciwy, bo inaczej nie myślałabym o Tobie dobrze i nie lazłabym w łapy złu.
A może to zwykłe pijaństwo wszystko tak Ci wikła? Wiesz, jak chemia niszczy komórki człowieka, jego mózg. Gdzie znajduje się dusza ludzka? Niektórzy mówią, że w sercu (już wiem, jak ono pęka). Inni — że w... żołądku. Jesteś żywym człowiekiem, gdziekolwiek byłaby Twoja dusza, i musisz być czegoś warty u Boga (pewnie, jak wielu, masz jakieś ważne zadanie do spełnienia). Zły też pewnie nie bez

przyczyny tak zmaga się o Twoją duszę. Więc daj szansę choć swemu żołądkowi.

Takie może ble-ble siedząc tu w „Marszandzie” piszę, ale, jak się słucha Nowegoradiawawa, z polskimi wyłącznie piosenkami... „Minął już ostatni mur między nami, bo tego się nie da powiedzieć słowami, nie dzieli nas nic...”

— Zniszcz to — Mosin machnął Dominie płachtą papieru przed nosem.

Domina skrawek za skrawkiem wrzucała list do wielkiej kryształowej popielnicy. Spłachetki listu jej życia zajmowały się ogniem, nie dolatując do dna.

— Nie ma cię więcej w moim życiu, Domina, ustaliłem to — Mosin szurnął zapałką po pudełku, zaciągnął się ze smakiem papierosem z sowieckiego przemytu. — Po co to napisałaś? Żeby mnie zdołować? Czy to może tylko twoja własna psychoterapia? Chcesz, zaprowadzę cię do świetnego specjalisty.

— Nie. To tylko literatura! — Domina przełknęła łzy i wybiegła z „Marszanda”.

Wałek

Kobieta Anioła przyniosła w swojej czarnej torbie wałek do ciasta i uderzyła nim w głowę Maryny. Ten wałek jest podobny do czarnego starodawnego mikrofonu, pomyślała Maryna.
Anioł wyjął z ręki kobiety wałek. Nic, zdaje się, nie czuł — ani złości na kobietę o farbowanych kręconych włosach, która przyszła do jego domu, aby przekonać przede wszystkim siebie samą, że jest jego kobietą, ani żalu z powodu bólu Maryny. Maryna popatrzyła na kobietę o żółtych włosach i potarła siniejącą na czole plamę.
— Zdaje się, takich mikrofonów już się nie używa — rzekła Maryna i odwróciła się do szafy, otwarła drzwi i zaczęła zdejmować ubrania z wieszakami. To były jej ubrania.
— Wszystko jest literaturą. A za słowa się płaci! — powiedział Anioł.
— Do mnie mówisz? — Maryna zbliżyła do swych piwnych krótkowzrocznych oczu cienką jedwabną sukienkę w wypłowiałe maki, jakby je przeliczała. — Aha, rozumiem. Ale nie myśl, że dostaniesz ode mnie wierszówkę, mój Aniele. Czabotnikam pa chałapach!
Maryna wrzuciła ciuchy do otwartej walizki.
— Wydawało się, że mnie czujesz. Że każde słowo jest ważne. Ale to, co jest do powiedzenia, już zostało powiedziane. Więc nie męczmy się. Bo ja nie dam sobie rady, choć dam sobie rady — Maryna mówiła dobitnie, przysiadając na wieku niedomykającej się walizy. — Bo jestem mocna. Ja nie chcę, aby mnie ktoś powiedział za dużo.
— Oj, bo znów mi ktoś tu zaraz rączkę rozbuja! — pijana kobieta, która uważała się za kobietę Anioła, wymachując wałkiem udała się do kuchni.
— Nie porozbijaj tam czegoś, Jolka. Naprutaś! Przyjdzie Kaćka posprzątać, będzie na mnie znowu. Coś, Aniele, wspomniałeś o literaturze. Poniekąd masz rację. Za dobre słowa powinno się płacić. Im więcej dobrych słów, tym wyższa cena. Życiem się płaci za słowa.

Po bladej niedogolonej twarzy Anioła przemknął uśmieszek.
— Mój Boże! Poużywaj sobie lepiej słowiarsko przy kufelku. I nagród, popatrz, jakoś ci nie dają...
— Pod osąd jury mogę stawiać swoje piersi! A cóż oni wiedzą o poezji!
— Piersiopiska!
Zza drzwi kuchni wysunęły się pierwsze wielkie cycki kobiety Anioła, a za nimi czarny wałek.
— Ja byłam pierwsza! Zabieraj swoje czamadany! Nazbierało się tego za ten rok.
— Trzy lata spalania tlenu... — Maryna w pamięci szybko przeliczyła czas, kiedy zdawało się jej, że Anioł jest jej Aniołem. — Michał, znowu porozrzucałeś zapałki. Cóż za durny zwyczaj, Aniele. Nie jesteś chyba dziewczynką z zapałkami.
Michał Anioł zaczął zgrzebywać z blatu stołu swoimi niezbornymi długimi palcami o poranionych zębami paznokciach rozsypane zapałki z zielonymi, czerwonymi i rudymi siarczanymi łebkami. Rzeczywiście, nie wiedzieć czemu, rozrzucały mu się zapałki zaraz po otwarciu pudełka, a pudełka otwierały mu się same, gdy wracał do domu z pracy i odpoczywał. Zawód miał Anioł wolny, czasu wolnego też mu nie brakowało. Palił papierosy z ruskiego rynku, najczęściej kupował też ruskie sierniczki na grubych patyczkach, niegasnące na syberyjskich wiatrach. Po piętnaście groszy za pudełko. Przynosiła mu je też Kaćka, którą przyprowadził był stamtąd, z ruskiego rynku, i dał sprzątanie. Po trzydzieści złotych za machnięcie ścierką po wyobrażonych kurzach, bo kurzy w mieszkaniu Anioła nie było — Anioł, aby zająć swój anielski umysł i spragnione pracy dłonie, pozbywał się kurzy kilka razy dziennie. Ale Kaćki się nie pozbywał. Magister nauk politycznych Jekatierina Iwanowna w zasadzie tu pomieszkiwała, w czasie, kiedy nie stała na bazarze przy Kawaleryjskiej lub Jurowieckiej, albo nie była pojechawszy po towar do Grodna. W drugiej szafie były jej ubrania, więc te, które popakowała do swojej walizy Maryna, nie były jej. Bo szafy były dwie, a w trzeciej wisiały piękne garnitury Anioła, z czasu, kiedy go jeszcze trzymali w Gazecie i przynosił stamtąd pieniądze. Ale w tamtych czasach mieszkały tu jeszcze Bab

i Mamme, i dwie pozostałe szafy były zajęte ich dobytkiem, uzbieranym za ich całe pracowite życie.
— No cóż, jestem dziewczynką z zapałkami! — mruknął Anioł i zasunął jedno pudełko. — W dzisiejszych demokratycznych czasach dziwactwa i anomalie nadają się do prawnego uregulowania. Jolka, ten twój wałek zadziałał na samym wstępie historii, więc go możesz wyrzucić. No, wywal go. Za okno! Już!
Jolka przestępowała z nogi na nogę, zbita z pantałyku. Rozbrojona, nie czułaby się pewnie. Ale gdyby doszło do walki o Anioła wręcz, Maryna nie miałaby szans: Jolka wczepić by się mogła jej we włosy swoją pazurzastą łapką i nawydzierać niemało czarnych kędziorów...
Wałek wyleciał przez otwarte drzwi balkonu w ciemność. Oczywiście, zmrok nad Białymstokiem zapadł był zgodnie z porą roku.
Czarny wałek jednak miał zaistnieć raz jeszcze, przynajmniej w tej historii. Po okrzyku, który rozległ się pod blokiem na słynnym Antoniuku, jęku niknącym w wieczornych wrzaskach, do mieszkania Anioła, po mocarnym kopnięciu w nowe antywłamaniowe izraelskie drzwi wbiegła Jekatierina Iwanowna, magister nauk politycznych Uniwersytetu Państwowego w Grodnie. Kaćka rzuciła na parkiet toboły i wałek.
— Co tu one robia, ta urody? Mówiła, żeby ta czarna wyrzucił. Albo ja tu mieszka i płaca, albo sia wybiera.
— Sama sia wybiera! — Jolka zatrzęsła z oburzeniem swoimi żółtymi lokami, nie mówiąc o falujących z wściekłości piersiach.
— A co robi tutaka ta ździra?
— Ot... Gniewaja się na siebie! — rzucił z uśmiechem Michał Anioł.
— Aleś, Kaciusza, ostatnioś nie płaciła za wynajem. A w naturze, sama wiesz, nie korzystam. No, harełka, cygarety — to i owszem.
— O to to to! To niech by sam pozwolił klienta przyjmować, kiedy sam nie chce. A czego mi, Misza, brakuje? Nu? — uniosła się Kaćka.
— Jak nie, to ja sia wyprowadza. I jeszcze wałkami rzucajo jakieś urody pa chacie! Niebiezpieka!
— Toż to Antoniuk! — potwierdziła Maryna i sięgnęła po długopis — jako językoznawczyni, zapisywała różne zasłyszane kawałki do swego notesika.

— Idź, idź, Jolka, do domu — Michał Anioł poszedł za kobietą, która uważała się za jego kobietę, do kuchni. Jolka zagulgotała — przyssała się raźno do karafki z nalewką, którą nastawiła jeszcze nieboszczka Bab.

— Ja pójdę, a one co?

— Kaćka — na wieczorny pociąg do Grodna.

— A Maryna...? Wszyscy w Białymstoku mówią, że ty jej jesteś.

— Idź. Siadaj na ostatnią dziewiętnastkę, jeszcze zdążysz. A mało to czego w Białymstoku nie mówią albo nie piszą. Marynka sama eksperymentuje w czymś takim.

— No bo ona językoznawca — oblizała się Jolka po wiśniówce i osunęła się pod stół.

— Na ten przykład: odmienne stany świadomości po uderzeniu wałkiem... Przycięcie własnego serca zamykaną walizką — wymieniała swoje nowe doświadczenia Maryna. Przysiadła obok Anioła na kuchennych płytkach.

— Mój ty Aniele... Moja ty dziewczynko z zapałkami...

— Chodź, podpalimy Paryż — ożywił się Anioł.

Syreny

Nie lubię poezji. Tak rozpoczął wczoraj swój felieton Adaś. Ten początek napisał był na białej papierowej serwetce. Pokazywał Lince dzisiaj rano ten początek tekstu, jakby się chwalił; miało to miejsce w kawiarni. Linka czekała tam na Manika. Przynajmniej tak stwierdziła. Manik — tak o nim mówiła. Bo ten Manik naprawdę umie mamić i manić. A sam „maniuteńki" — niepozorny. Jedno ma tylko wielkie i mocne, ale i ono z wiekiem marnieje, szczególnie wtedy, gdy, tak jak u Manika, nie próżnuje. Bo mężczyźni nie mają części zapasowych. Serce ci przeszczepią, wątrobę, a tego — nie. Chyba że sam sobie odrąbiesz, i zdążą ci go przyszyć. A cudzy nie przyjmie się. Przynajmniej tak mówi współczesna medycyna. Linka, niedoszła lekarka, raczej specjalistka bardziej w dziedzinie medycyny naturalnej, o takich cudach dotąd nie wiedziała i nie słyszała. Tak to jest Maniku. Czekała go Linka, powtarzam, w lodziarni „Wrzos" i wszyscy już o tym wiedzieli, a Adaś pokazywał ten felieton, jakby się chwalił Lince. Ale co z tego, że się chwali akurat jej — on żadnej kobiety nie szanuje. A Adaś do każdego swojego felietonu wetknie coś z Manika. Jakby to była jakaś jego mania. To, że poezji nie lubi — było całkiem jego — Adasiowe. Sam pisał wierszyki w szkole, teraz przychodzi mu się je czytać. A czytać nie ma co. Oto recepta współczesnego poety, bardzo prosta, przepis na utwór: weź garść jakichś słów, niekoniecznie poetycznych a, może, i całkiem nie, zapisz je w dowolnym szyku, mniej więcej w słupku, albo i nie, mogą być wersy długie i różnych rozmiarów... Kto będzie czytać, czy to zwyczajny czytelnik, czy nieszczęsny krytyk — to im bardziej zagmatwany i niezrozumiały, tym lepszy będzie twój utwór. Wiadomo, twój wiersz muszą najpierw gdzieś wydrukować, żeby krytyk go przeczytał. A jeśli wydrukowano — to już wyrażono uznanie. Gdy o uznaniu — to Adaś do manii Manika odnosi się z pewną dozą chyba zwyczajnej zazdrości. Do tych jego opowieści o tabunach zbałamuconych dziewcząt i kobiet, które spać

nie mogą po zetknięciu z jego duchowością, intelektem i zmysłowością. Ta Manikowa zmysłowość nie jest obsesją Adasia, broń Boże. Z cudzej zmysłowości można mieć pożytek tylko wtedy, gdy ci za słowa płacą... Nieważne, czy to powtórzenie, echo, czy zainspirowana kimś zabawa...

Adaś mówił, powtarzał powiedziane wczoraj i przedwczoraj, a na serwetce, sławnej już przez to, że stykał się z nią jego długopis, spod tuszu wymykały się linie. Łamały się tworząc figury geometryczne, rozwijały na kształty listków, gałązek i pąków niezwykłych kwiatów, lub profili wielkookich kobiet i mężczyzn. Domki z trapezowatymi dachami i okienkami w szczytach i kwadratowymi oknami niemal na całą ścianę. Z drzwiczkami, schodami, z dymem z komina. W okrągłej, wielkiej, szklanej popielniczce porudziałe papierosy mokły w soku nie do końca obessanych pestek śliwek. Linka strząsnęła tam długi słupek popiołu ze swego LMa. Przytknęła do oślizgłej pestki żarzący się niedopałek i z sykiem zakończyła jego krótkie życie. Wyjęła nowy papieros z rozpoczętej paczki, która leżała obok Adasiowej serwetki. Adaś lewą ręką pstryknął zapalniczką, nie przestając rysować.

— To wszystko nieprawda, co o mnie mówią. Jak można kogoś określić? Kto dał wam prawo nazywać stan duszy innego człowieka?

Adaś nawet nie spojrzał na Linkę, choć ona odczuła, że gdy powiedział „wam", to i do niej się to, być może, odnosiło. Ale ta konstatacja nie błysnęła niczym w jej mózgu. Jedynie tylko: Boże, ile można tego słuchać?! A gdyby odezwać się, to jak zawsze, z ich ust, Linczynych i Adasiowych, wylecą jednakowe frazy. I zawsze ma wrażenie, że znów weszła do tej samej wody, ale nie do rzeki, a do stojącej ciepłej wody znanej sadzawki. Choć w życiu tak nie bywa, zapytajcie filozofów... I nie nogi mokną tam w dole, a rybi ogon zamiast nich się bełta. Syrena... Nie wiadomo dlaczego od nich obojga idzie zapach nie gorzkiego papierosowego dymu, a świeżej ryby. Być może z kawiarnianej kuchni, bo dziś piątek. Albo naprawdę tak pachnie skóra ich obojga, rzeką, wikliną, dojrzałymi pałkami, żabim skrzekiem, rzęsą, lilią wodną. I nie rozróżnić kto on, kto ona. Bo tylko słowa, słowa, których nawet już nie słychać, bo wiadomo, co każde z niech za chwi-

lę powie albo zmilczy. Albo oboje wezmą swoje długopisy i będą coś zapisywać lub malować domki i ładne twarze nieznajomych.
— Dlaczego milczysz?
— Do mnie to mówisz?
— A co, jesteś lepsza? Od nich? Jesteś od niech słabsza. Bo nie mówisz prawdy. Jesteś taką samą maniuką, jak twój narzeczony, ten głupi docent. Wszystko to jakieś nierzeczywiste. Życie. Idź, bo ja wyjdę.
— Już wyszłam. Poszłam. Bełtam się w tej stojącej mętnej wodzie. Piszę...
— Co ty piszesz!!! Nie wysyłaj mi o świcie elektronicznych listów, które mnie doprowadzają do porannych samobójstw. Jeśli nie możesz spać, to nocuj u Manika. On przynajmniej ci dogodzi.
— Nie krzycz. Po co ludzie mają widzieć, że krzyczymy.
— Jacy „my"? Jacy ludzie?
W kawiarni „Wrzos" drzwi otwarły się na wiosenną już ulicę. Tradycyjnie niemal wszystkie twarze bywalców odwróciły się w tamtą stronę. Adaś i Linka dalej wgapiali się w zabazgraną serwetkę, bo bali się spojrzeć sobie w oczy.
— Co słychać? — zapytał się Budzik drapiąc się po swej kędzierzawej głowie. Chciał usiąść, ale zrozumiał, że, pewnie, nie trzeba.
— U nas?! A od kiedy my, głupcze, razem?
Migiem zerwali się na równe nogi. I w rozpaczliwym milczeniu rozminęli się we „Wrzosowych" drzwiach.

Tłumaczyła Maria Bołtromiuk

Tamtego śnieżnego wieczora pod Zabłudowem rozbiło się sześć samochodów. Przyjaciele nie wpadli w karambol tylko dlatego, że wciąż im było mało zabawy w „Białej Róży" i pod Rybakami znaleźli się dopiero koło trzeciej w nocy.
Już w restauracji Marynka miała wizję. Ponieważ nie piła wódki, było to dziwne. Głaszka nie zdziwiła się ani trochę — popatrzyła w błyszczące z emocji oczy Marynki, która opisywała Hryszce obraz, jaki pojawił się jej przed oczyma: ogromne haftowane serce, zawieszone nad otwartymi drzwiami, i wetknięte w nie dzidy. „Gdzie tam, to żadne dzidy! — nie zdziwił się wcale Hryszka. — Nad moimi drzwiami wisi duże haftowane serce-poduszeczka, ale nie dzidy są w nie powbijane, tylko normalnie, igły. Nieboszczka mama haftowała, i to ona te igły i druty powkłuwała. Nie trzeba ich ruszać — to praca i staranie mamy, to także jej młodość, gdy mieszkała w Rybakach." Hryszka tu wrócił, by mieszkać w chacie babci, którą mama w młodości opuściła. Tak ułożyło się życie. I tak tu wszystko jest, jak było. Tylko komputer wstawił. Sam mieszka, z czterema kotami. Samiuteńki. Bo i żona go zostawiła. Też Bogu okazała się potrzebna. Ale w opowieściach Hryszki wszystkie są żywe. I szczęśliwy jest w tych Rybakach, choć sam, tylko z tymi kotami.
— A te igły trzeba powyjmować, tak jak i z twojego serca, Hryszka — nie ustępowała Marynka, i choć tego wieczora była najtrzeźwiejsza nie tylko w tym towarzystwie, ale w całej Hajnówce, oczy jej błyszczały, jak od gródeckiej gorzałki, co ją przy księżycu pędzą.
Gdy wygramolili się z Wackowego fiata, prosto w głęboki skrzypiący śnieg, w granatową ciemność, ukazał się srebrny krzyż. Na zachodniej stronie nieba. Pierwszy na kolana runął Bodo. — „To znak! Niedobry znak! — wydyszał z kłębami pary cały alkohol, który w nim się zebrał. — Mamie wyśniły się — niedobre sny!"
Hryszka otworzył skrzypiące na mrozie drzwi babcinej chałupy. Z sie-

ni wyszły cztery koty i pomiaukując otarły mu się o nogi. Weszli do sypialni. Bodo wyciągnął butelkę, Głaszka — cztery jabłka. Usiedli na zielonej, przykrytej sztuczną skórą, kanapie. Z odrapanych ścian popatrywały sepiowe zdjęcia przodków Hryszki, którzy od stuleci żyli nad Narwią.

W piecu ściennym huczał wiatr — pewnie dlatego, że paląc w nim, Hryszka nie zasuwa komina. Marynka spróbowała zapalić ogień pod byle jak wrzuconymi na kupkę mokrymi polanami drew. Musiała wlać trochę wódki, tak, by nikt nie zauważył. „Udało ci się? Tak szybko? — zdziwił się Hryszka. — Ja rozpalam dwie godziny".

Marynka podniosła się od drzwiczek pieca, spojrzała na drzwi.

Nad przejściem do pokoju wisiało zakurzone wielkie haftowane w maki serce, a obok — zwyczajna poduszeczka do igieł. W tej poduszeczce jednak nie było igieł, natomiast w sercu sterczały cieniutkie igiełki i igły-groszówki, druty do robót i jakieś inne pordzewiałe, powykrzywiane druty. Marynka podsunęła krzesło do drzwi, stanęła na palcach i zgrabiałymi rękoma zaczęła wyciągać z serca całe żelastwo. Powkłuwała to wszystko w drugą poduszeczkę.

Z sypialni dobiegał drżący z zimna głos Głaszki, niósł się echem po pustych pokojach:

— Bodo, nie bój się tego krzyża na niebie. On był — czysto katolicki. A tyś przecież — pomieszany. Jakby miał być na twoją, nie daj Boże, zgubę, na niebie widać byłoby jeszcze jedną poprzeczkę!

Marynka przymknęła drzwi. Zahuczał ogień.

Tłuste koty rozsiadły się pod piecem, wpatrywały się w przyjaciół Hryszki. Dzisiaj jadły „Whiskas". One, Hryszkowe koty.

Na kanapie siedzieli rządkiem, nabierając rumieńców, Hłaszka, Wacek, Bodo i sam Hryszka, przecierający spocone ze wzruszenia i od ciepła okulary.

Srebrny krzyż wciąż jaśniał na zachodzie, aż rozpłynął się wśród gwiazd.

Zbliżało się Boże Narodzenie.

Tłumaczyła Anna Sobecka

Aptekarka

Nocna apteka. W nocnej aptece musi żyć aptekarz. A może też być aptekarka całkiem podobna do aspirynowej Baby-Jagi...
Nasze oczy spotkały się, kiedy stałam w kolejce po tabletki na dobry sen. W sterylnie czystym aptekarskim szkle odbijało się wszystko: i ja w dżinsowym płaszczu koloru indygo, i trzy kolejki ludzi — od czekania — skamieniałych w złości. Uliczne lampy migały liliowym blaskiem, smugi samochodowych reflektorów co chwilę rozświetlały przestrzeń. Pulsowały neony. W szybie zobaczyłam swoje podkrążone od zmęczenia oczy. Zobaczyłam też oczy aptekarki, jej iskrzące białka i zakrzywiony nos.
Moja głowa, do której sen nie przychodził już trzecią noc, bezwiednie opadła na bok. Chyba powinna stać tu aptekarka. Wydawała się niższa ode mnie, ale teraz jakby całkiem zniknęła pod ladą. Odwiedzający lubią opierać się o apteczny blat i w dzień i nocą. Można się na nim nawet zdrzemnąć zanim przyjdzie czas stanąć przed okrągłym okienkiem i odpowiedzieć na pytanie pani magister: „w czym mogę pomóc"?
Aptekarka nie odróżniała się od innych ludzi, choć zamiast płaszcza albo kurtki, najlepszych na chłodną listopadową noc, miała na sobie tylko biały fartuch i klapki na kauczukowej podeszwie — takie, jak noszą w szpitalach. Przestępowałam z nogi na nogę w przemokniętych adidasach. Włożyłam je specjalnie, żeby biec do apteki i kupić coś na dobry sen.
— Poproszę tabletki nasenne. Nie śpię już trzecią noc — wyszeptałam do okrągłego okienka. Na pewno roiło się na nim od wirusów i bakterii wykaszlanych przez pacjentów. Aptekarka spod lady wyciągnęła długą, białą puszkę a z niej srebrny listek z zatopionymi zielonymi pigułkami. Na talerzyku, na którym zazwyczaj kładzie się pieniądze, żeby zapłacić za lekarstwa, położyłam 10 zł. Ostatnie, jakie zachowały się w kieszeni mojego nieśmiertelnego dżinsowego

płaszcza w kolorze indygo. Najpierw z banknotu zaczęły spływać cyfry, potem postać króla, aż stał się zwyczajnym papierkiem i zupełnie zniknął na moich oczach. Aptekarka miłym, zmęczonym głosem pytała już następną osobę, czego potrzebuje, żeby wyzdrowieć. Czy przed chwilą nie stałam przed tą szybą? Przecież nic nie dostałam za moje ostatnie 10 polskich złotych.

Aptekarka rozdziawiła bezzębną gębę.

— Nie na ma się z czego śmiać! — powiedziałam podniesionym tonem. Po drugiej stronie okienka nie znikał ironiczny uśmieszek. W szklanym zwierciadle twarze ludzi z kolejki stawały się coraz większe.

— Czego się gapicie? Nigdy nie widzieliście, żeby ktoś nie dostał tego, czego chciał, a pieniądze i tak przepadły? — mój głos był coraz mocniejszy. W szybie błyskały oczy, strzelały różnymi kolorami tęczówek. Nie wytrzymałam. Odwróciłam się do stojących za mną ludzi.

Oni mnie jednak nie widzieli i nie słyszeli. Całkiem bez życia przesuwali się z nogi na nogę, pokasływali, smarkali w papierowe chusteczki. Do rąk pani magister wsuwali długie recepty albo pieniądze, odbierali foliowe torebki z lekarstwami. A aptekarka w białym fartuchu, w szpitalnych klapkach, niziutka, z cienkim kucykiem z siwych włosów przewiązanych żółtą gumką-recepturką, patrzyła na mnie ze zrozumieniem.

— Nie pij lekarstwa na dobry sen. Ty już śnisz się w czyimś dobrym śnie. Pigułka ci nie pomoże.

— Dajcie mi coś na dobry sen! Może być i koszmarny, byle tylko zasnąć!

— Chodź ze mną. Napijesz się kropelek ze starą aptekarką.

— Nigdzie nie pójdę! Już ja znam tych, co te krople pili. — Nie! Pójdę wszędzie, gdzie mnie zaprowadzi. Wszystko wypiję. Byle tylko nie spirytusik od akuszerki Fainy Fiodarauny. Tylko nie to! ...

Poszłyśmy do kawiarni, tuż obok nocnej apteki. Dosiadłyśmy się do stolika, przy którym siedział pan Jerzy z teatru dramatycznego i jego przyjaciółka Basia. Pan Jerzy co chwilę łapał się poniżej pleców — dziś w południe wlazł pod swojego fiata, żeby podreperować go od spodu i nie dał rady technice.

— Powiedz, że rozmasujesz mu to bolące miejsce, — zaproponowała

aptekarka. Nalewając do mojej szklanki z sokiem grejpfrutowym kilka leczniczych kropelek.
— A i powiem! — poweselałam po wypiciu lekarstwa.
— Znów rozmawiasz sama ze sobą! — Barbara M., przyjaciółka Jerzego, nie wydawała się za bardzo zdziwiona. — Wszyscy w kawiarni mówią, że nie śpisz już trzecią noc.
— Co w tym dziwnego, że chce się rozmawiać z kimś współczującym — wtrąciła się aptekarka i hojnym gestem nakapała do szklanki Barbary.
— Pewnie, że nic w tym dziwnego. Tylko nie podlewaj jej do wina tych kropelek, bo będzie tak, jak z ... — aż się ugryzłam w język.
— Już ja wiem, kto kiedyś tak „współczuł" jednemu z naszych przyjaciół. Kapali, kapali i się dokapali. Już my was znamy, pani aptekarko! Tylko sam Adam Globus może dać wam radę!
— Ci-cho! — aptekarka pogroziła mi dłonią w gumowej rękawiczce. — Nie wymawiaj przy mnie imienia tego pogańskiego zdrajcy! Już lepiej proponuj masaż temu z teatru.
Zaproponowałam. Jurek nie miał nic przeciwko. Nie to, co ta jego przyjaciółeczka Barbara M. I znów stałam się czołową skandalistą zachodniej części centrum podlaskiego miasta wojewódzkiego. To tam, gdzie jest księgarnia, antykwariat, sławna kawiarnia i apteka, w której żyje aptekarka z działającymi cuda kroplami na dobry sen.

Tłumaczyła Diana Nachiło

Czarna wdowa

Luba łazi oto bez celu po zimowym mieście. Kiedyś, będąc zabieganą, jedząc w biegu po krótkim, zajęczym, śnie, miała ważny cel: trzymała się pracy. Rzec by tak — oburącz. Teraz też ma jakąś pracę, nawet bardzo odpowiednią, o jakiej marzyła onegdaj, i dobrze jest, bo inaczej dostałaby kręćka na nudnym etacie w biurze lub na belferce. Luba „robi w radiu" mianowicie i tego zdawkowego anonsu wystarcza rodzinie i bliskim, zamiast długich objaśnień. Jej głos stał się publiczną własnością; życie też poniekąd. Troszeńkę pożyła jednak na tym świecie, za te trzydzieści pięć latek. Mimo to matka Luby nadal uważa, że ona nie zna życia, chociaż ukończyła studia, łatwo dostała pracę, mieszkanko „za komuny" jeszcze... Ma pieniądze, w niczym nie przypomina obecnych studenciaków, co to po dyplomach zasilają szeregi bezrobotnych, zwiększając tłum ludzi zbytecznych. No, za mąż nie wyszła, rodziny nie założyła, samą została na świecie. Tak pewnie musiało się stać, skoro przebierała w kawalerach, niczym w ulęgałkach! Ale na straconym nie stoi, od czasu do czasu spotyka ją swatanie; całkiem porządne partie podsuwają Lubię, wcale nie z wiochy i nie śmierdzących wsioków. Ona, jednakoż, poszła w zaparte. Chce tego. Żadnej wdzięczności u niej za spolegliwe starania. Nie i nie! Czort, nie dziewucha!!

Lubie nie braknie kawalerów ani nie przystawiających się do niej chłopów na schwał, za których przecież nie wyda się. Na ogół traktowała ich przyjaźnie, lecz bez żadnych zobowiązań. Oni wyczuwali to i zachowywali się wobec niej nadzwyczaj przyzwoicie. Trudno posądzać ją o purytanizm, niemniej unikała jakichkolwiek przygód, zwłaszcza czysto łóżkowych. Co prawda przytrafiło się jej kilka przypadków, przekreślających przyjaźnie. Do niektórych kolesi żywiła ciepłe uczucia, ale to się odmieniło, gdy oni załapali się na jakoweś kariery i na nic już nie znajdowali czasu. Małolatami zaś nie interesowała się. Jej stale młodzieńczy wygląd robił na nich wrażenie, narzucali się Lubie

ze swym towarzystwem. — Nie mam chęci na te dzieciaki — pokpiwała Luba, odstawiając na bok młodszego od siebie o dziesięć lat pretendenta. Był nim miluśki Adam z twarzyczką skrzywdzonego wyrostka. „Czego ci brak? — replikował Adamek. Że nie wyszłaś za mąż? Jesteś piękną dziewczyną. Gdybyś była umalowana, to byś wyglądała na starszą..." A Luba na to: „Czyżbyś uważał, że w moim wieku kobieta nie może być ładna, powinna zejść ludziom z oczu? Pożyj jeszcze ten brakujący tobie dziesiątek, a zobaczysz to, co ja teraz widzę... Zasmakujesz dorosłości". Nudził ją Adam, nie chciało się z nim rozmawiać. Śmiechu warte, interesował się ten gnojek antykoncepcją, dopytywał się o tabletki.

Adam interesował się Lubą bardziej jako kochanka legendarnego w koleżeńskiej parafii Jurasia Samosia, niźli żywą Lubą Nawicką, pełną ciała i na tyle nieobliczalną, wręcz zawichrowaną, że obawiały się jej nawet chłopy z jajami. Tylko Juraś nie stchórzył przed Lubą, zanim popadł w alkoholizm. O mało nie poszła razem z Jurasiem na dno, ratując go z ciężkiej depresji, tego utalentowanego i pożytecznego społeczeństwu człowieka. Sama, bywało, osuwała się w beznadzieję. Niewydarzony miał on charakter, słabą psychikę, i, jak to marny chłop, wymagał ciągłego niańczenia się z nim. Miała go dość! Będąc energiczną kobietą, nastawioną na ważne generalia. Juraś, zresztą, nie był tak zupełnym cielęciem, rzucał się na biznes z przerwami na dawanie upustu swym słabostkom; innym razem brał się za pisanie prozy literackiej, tudzież krytyki. Pił wcale nie mniej z powodu niepowodzeń we wszystkim, czego się imał; w środowisku pokpiwano zeń, jak się pokpiwa z nieudacznika. Ostatecznie zmógł go tekst pewnego jasnowłosego docenta literatury, który swój szkic o nim pomieścił jak o kimś już nieżyjącym. Luba trzymała za rękę Jurasia w szpitalu, gdy jego oczy zachodziły mgłą, nieprzytomnie coś mamrotał; lekarz wyjaśnił, że to gorączka mózgowa, z której się nie wychodzi.

Nie zdążyło wystygnąć ciało drogiego dla niej człowieka, gdy koledzy zaczęli wygadywać na nią niestworzone rzeczy. Nie o zapomnianej żonie, pierwszej czytelniczce utworów nieboszczyka jeszcze ze studiów, i nie o drugiej, matce jego syna, i nie o trzeciej, niezaślubionej, matce Jurasiowej córki. Ta trzecia uważała siebie za muzę poety;

przyszła była na pogrzeb cała w czerni i tuż nad grobem uderzyła Lubę w twarz. Przyszły na grób co najmniej trzy kobiety Jurasia Samosia, no i Luba, o której mówiło się, że była kochanką zmarłego.
Czarnym smutkiem wieje z oczu Luby, powiadają: demonicznie czarnych. O ich diabelstwie powiadają ci, którzy tworzyli legendę o Jurasiu. Różna zbieranina okołoliteracka, niedomyte nieudałoty. Nikt nie pomógł Jurasiowi za życia, w niczym nie poparł go. Inna rzecz, że nie potrzebował on tej ich pomocy... Żył, niczym symbol swej nacji, jej niewydarzonych pokoleń, ludzi zbytecznych światu, niezdolnych wypracować w sobie sens istnienia. Pociąg dziejów odjeżdżał bez tych pasażerów.
U Luby każdy świstek papieru od Jurasia stał się relikwią. Jakiś obrywek wiersza. Rysuneczek na kawiarnianej serwetce. Cokolwiek warte było według niej przekazania do muzeum. Kobiety Jurasia wydzwaniają do Luby z żądaniami — oddaj to, oddaj tamto, po coś przyswoiła!? Za ten twórczy spadek podobno mają być pieniądze! Cóżeś ty za jedna, że tyle zagarnęłaś?! Klucze do jego mieszkania miałaś, w łóżku z nim gziłaś się, więc się nachapałaś.
Z Adamam, tym Adaśkiem, rzeczy miały się zgoła inaczej — chciał paradować w towarzystwie niesamowitej Luby, nieślubnej wdowy. Szło mu nie tyle o samą sławną Lubę, co o własne wiersze. Pisywał je niezgorzej, całkiem na poziomie innych, ukazujących się drukiem w środowiskowych efemerydach w przeżartym prowincjonalnością takim Białymstoku. Z Adasiem o tyle nie było beznadziejnie, że miał za sobą studia wcale nie filologiczne, lecz inżynieryjne; ukończył elektrykę. Jak powiedziałam, „wierszował" dostatecznie poprawnie, co dosyć ochoczo potwierdziły one Domina z Handzią, papużki-nierozłączki. Z Adasiowych tekścików dałoby się coś wykomponować pod disco-polo, ostatecznie w rock-rytmach. Jednakowoż owe papużki-nierozłączki pokiwały czarnymi głowami nad wierszątkami Adasia, podeliberowały, walnęły sobie po piwku i wyrzekły tak zwaną prawdę na temat jego twórczego potencjału. Niech on zapuści brodę, to mądrzej będzie wyglądał.
Luba potrzebowała przyjaciela, a nie towarzysza. Wyrozumiałego mężczyznę na wszelkie okoliczności, nie recenzenta jej wybryków

i odlotów. A zatem posłała Luba tego inżynierka-elektryka do wszystkich diabłów (w roli dupy wołowej). Być może głupio zrobiła? Przy kielichu w akademikach i przy kuflu w kawiarniach różnie gadano o Lubie. Adam zaś trzymał fason. Chłopaki nie płaczą! Jednak tak długo nie wytrzymał, podczas jakiejś popijawy wdrapał się na parapet okna na ostatnim piętrze, robił tak nie raz, ale tym razem zleciał w dół, ani się kto obejrzał za nim.

Wnet poszła fama po wielkim mieście Białymstoku, że Luba Nawicka jest fatalną czarną wdową. Blady lęk padł także na chłopów z jajami, skorych do molestowania.

Tłumaczył Sokrat Janowicz

Samobójstwo dzbana

W „Marszandzie" można zamówić piwo w dzbanie. I to nie w jednym. Szkoda tylko, że w tym lokalu piwo z beczki jest gorsze od butelkowych „Żubrów" i „Magnatów" z dojlidzkiego browaru. Kwaśne, mętne, sikowatożółte. Ale gdy takie dzbany z nieszczególnym piwem postawi się na zsunięte stoliki, nakryte czystymi obrusami, na owalnych talerzach położy się świeżą wędlinkę, a w salaterkach poda się sałatki — do wyboru i do koloru, z serem, rybą, zieloną sałatą, sprężystymi talarkami ogórków, przywiędłymi plasterkami pomidorów — wówczas wszystko gra. Można wypić nawet i to piwo bez skrzywienia. Piwo w dzbanach zamawia się na ogół na imprezy. Wtedy to piwo jakoś schodzi i lokal nie notuje strat. Rzadko się bowiem zdarza tak jak tego wieczoru, kiedy Domina z Hanną z wielkim oburzeniem stwierdziły, że piwo jest ohydne i przeniosły się do „Rejsu". Kasie-Basie za barem nawet się zdziwiły, że owo paskudne piwo nie chlusnęło im prosto w twarz, bo te dwie znakomite klientki były znane ze zwyczaju wygłaszania swoich ocen dobitnie i bez zahamowań. Jako że grzechem największym jest zgrzeszyć przeciwko smakowi (Hanna) i formie (Domina). A one zamierzały przecież wznieść rytualny toast. Za następnego, który miał wzlecieć jak Ikar do słońca, a spadł przed wejściem do akademika. Cóż to by był za toast, gdyby dziewczynom udało się zaakceptować ten napój! Jeszcze jeden poeta nie znalazłby się nigdy w niebie grafomanów czy też mistrzów pióra, a pozostałby na wieki wieków w miejscu, do którego wysłałyby go zniesmaczone degustatorki, czarne anielice białostockiego światka literackiego.

Jak powiedział jeden poeta, białostoccy literaci nie przyznają się, że są tutejsi, z Białegostoku. Jedni cierpliwie tłumaczą, że są, rozumiecie, poetami i prozaikami białoruskimi, a inni uciekają do Warszawy albo do Nowego Jorku, nawet gdy wyszli, powiedzmy, z Niewodnicy Kościelnej albo Krupników. A niech im tam będzie! Ale z dru-

giej strony, dlaczego by się nie mieli przyznać do bycia „polskimi pisarzami", przynajmniej wobec tych, którzy obnoszą się z mianem „pisarza białoruskiego". No, białostocki, skoro tu mieszka. Przecież mamy tu uniwersytet, i akademię medyczną, i konserwatorium, i szkołę teatralna, i kupę przeróżnych nowszych, mniej lub bardziej drogich szkół wyższych. Pisania też tam uczą. Co, nie uczą?! Poczytajcie tylko, jak piszą krytycy mający zajęcia na wydziale filologicznym. Wiedzą co pisać i umieją, bo po co by im była potrzebna ta wiedza, gdyby najpierw nie nauczyli się pisać. A teraz wbijają do ciemnych studenckich łepetyn, czym jest literatura. I kto jest pisarzem. I kogo z nich można by zaliczyć do złotej kohorty uznanych. A kto nic nie jest wart, chociaż puszy się swymi laurami i nawet stanowiskiem dyrektora. Albo, wybałuszając wyblakłe oczy, ślepi się z kąta, czyj tyłek więcej wart, jak gdyby kawał mięsa różnej płci miał jakiekolwiek znaczenie wobec wszechświata i wieczności. W końcu to nie tą częścią ciała ludzie piszą, nawet jeśli niektórzy tak sądzą.

Dzban piwa może zjednoczyć wszystkich. Dzban jest formą doskonałą. Dlatego też trafił do ludowych przysłów. Dopóty nosi w sobie to co weń naleją, dopóki mu ucho się nie urwie. Dzbany w „Marszandzie", połyskując niewyraźnie swoimi pękatymi brzuszkami i wyściubiając zuchowate dziubki, nasłuchały się bezładnej wrzawy na przeróżne globalne tematy. Łowią uszkami znajome głosy amatorów piwa ze stałej kompanii, odbijają twarze i mordy w swoich niewinnych półkulach, kryją w sobie chłód napoju przykrytego czułą pierzynką białej pianki, wyobrażają sobie z rozkoszą , jak z dzióbków poleje się gorzkawy strumień do szklanki, jak z nad obrzeża dźwięcznej szklanki to piwo będą pociągać usta. Usta Katarzyny zostawią na szkle purpurowe plamki... Z nabrzmiałych rubinowych warg Hanny wyśliźnie się ostry języczek... Domina w zamyśleniu przygryzie szkło łakomymi wargami pociągniętymi bezbarwnym błyszczykiem, spijając gorzkie piwo, do którego często kapią jej łzy. Słone krople, wywołane przez przyjaciół tych, którym znów nosiła ciężkie wieńce na jedlinie. Dzbany pamiętają jednego z tych, po kim płacze Domina, Miszkina, poetę (jakżeby inaczej), biznesmena i doradcę w sprawach polityki globalnej. Miszkin moczył w piwie swoje wąsy, rudawe jak ten szlachetny

napój. Miszkin pił piwo raczej z rzadka, lubił białe wytrawne wino. Jako amator wina Miszkin w rok po pogrzebie pozostał jedynie w pamięci dzbanów i Dominy. A krytycy zawczasu umieścili go pośród straconych i nieśmiertelnych nadziei literackich, jeszcze za jego chaotycznego życia.

Ci krytycy! Wciskają się, żeby posiedzieć przy tych dzbanach. O tam, przy tym stoliku, który niezorientowani goście biorą za służbowy. Obok niego odpoczywa ciężka czarna torba. Czyja? Nikt jej nie rusza. Wygląda jak sławetna teczka pewnego kandydata. Nieważne, kto gdzie kandyduje. Jeden może będzie prezydentem, inny posłem, a jeszcze inny senatorem. Putko ma więcej szans, bo zmężniał. Dzbany traktują Putkę z szacunkiem, odbijają go w swych pękatościach z dostojeństwem nawet większym, niż Putko posiada. A ci nieszczególni krzątacze, z którymi Putko piwa nie pije, są zupełnie nieobecni w odbiciach dzbanów, więc i w literaturze nic znaczyć nie mogą. No, na przykład Teresa. 14 sierpnia 2001 przyszła o dziesiątej zero osiem, usiadła samotnie, wypiła szklankę wody. Oto i cała jej obecność w białostockiej krytyce literackiej. Albo też Dariusz Czujesza, doktor. Aż go trzęsie, żeby wypić piwa z lewego dzbana. Trzęsie go na wieczorach literackich i promocjach. O innych rozprawia, bo to jego profesja, ale z jakichś powodów słychać tylko o nim. A pewnego razu przyszedł, usiadł z Krupką, zaczął o poezji, a dzban, choć pusty, nie wytrzymał.

— Brzdęk! — rąbnął się samobójczo o podłogę przezroczysty dzban z „Marszanda".

O tym wydarzeniu Krupka napisała katastroficzny wiersz. Dostała za niego nagrodę na ostatnim krajowym konkursie literackim.

Tłumaczył Jerzy Nachiło

W czterdzieste urodziny Bazyla Bizuna nie zdradziły tylko kobiety. Każda z nich miała nadzieję, że to właśnie ona jest tą, która ocali go dla literatury ojczystej. Bo Bazyl Bizun był wybitnym prozaikiem. Był, był nim przez jakiś czas, i przestał być. Bo jakiż to prozaik nie publikuje. Właśnie po czterdziestce jakże chce się publikować, na przykład, w „Maładości", jak powiadają ci ze średniego pokolenia, którzy publikują tam najwięcej. No cóż, nie publikował. Kto go nie znał, mógł powiedzieć: zamilkł, nabiera sił. A że nie publikują? Dlatego, że on jest ponad to. Na cóż mu te groszowe honoraria za „krótkie opowiadania", kiedy on pisze powieść? Powieść owa poruszy podwaliny literatury ojczystej. Skruszy zmurszałe ściany, wznoszone przez średnich środkowoeuropejskich prozaików, którym zawsze się wydawało, że tworzą wartościowe dzieła, o czym zapewniali ich krytycy, którzy pisali jeszcze gorzej od nich, albo w ogóle nie umieli pisać, dlatego też zostali krytykami. Świadomość tego, że znalazł się w ślepym zaułku, miał również sam Bazyl Bizun, i stan beznadziei pogłębiał się w jego duszy i majątku, odbierał chęć trzymania w palcach długopisu lub stukania w klawisze maszyny do pisania. Nawet w cichą, podatną klawiaturę komputera nie chciało się uderzać palcami, bo sensu to nie miało żadnego. I on, syn zorzy porannej i księżycowej poświaty, któremu zdarzyło się napisać parę godnych antologii opowiadań, zaczął pić. Bo wódka nie taka droga, żeby nie starczyło na nią zmęczonej duszy. A jeśli nie starczyło, to przynosił butelkę ktoś, dla kogo zaszczytem było upić się z legendarnym Bazylem, Który Porwał się na Księżyc.

Co to było za „porwanie", właściwie nie pamiętał już nikt, lecz legenda nabierała coraz to nowych barw. Najbardziej do rozmiarow tej legendy przeczynił się sam Bazyl, który, gdy obrzydło mu pajacowanie, udał najpierw homo-niewiadomo, następnie intymnego przyjaciela rzekomo chorego na AIDS artysty plastyka Serża Dababuńki, potem

skakał z wiaduktu na przejeżdżającą kolumnę samochodową prezydentów Europy Wschodniej (zawiadomiwszy wcześniej massmedia). Na piersi wytatuował sobie czerwonymi literami słowo PREČ! Z tym „czeskim" „č", co wyróżniło go nawet spośród zwoleników Republiki Ludowej. Pożałował, gdy do tego rozkazu zastosowały się służby porządkowe. Więc odchodził, odchodził, przepełniony obolałym honorem, aż wreszcie zasiadł przed telewizorem w swoim dwupokojowym mieszkaniu w centrum miasta, które wciąż miało nadzieję na stanie się sławnym. A kto zechciał zobaczyć wciąż żywą legendę, ten mógł wpaść tam z butelczyną, wyspowiadać się. A chociaż Bazyl niby otwierał przed każdym spotkanym duszę, to sam nie wiedział, kiedy jest Tym, Który Porwał się na Księżyc, kiedy Waśką, synkiem Niury, a kiedy Wybitnym Prozaikiem Bazylem Bizunem, Który Nie Chce Publikować w (niech już będzie małą literą) antyludzkich wydawnictwach. Bo tam n a w e t korektorka nie zna języka!
Dzień urodzin przygotowywał długo. Cały rok. Jeśli przyjdą, jeszcze żyje. Bo, siedząc przed telewizorem, spoglądając na kolorowe zepsiałe oblicza ludzi, gówno wartych, uświadomił sobie, że z lustra patrzy na niego cudza twarz nie tego Waśki, na którego wejście na scenę i pierwsze słowa nowego utworu zaczynały mocniej bić serca starych i młodych. Nawet krytykom, wyliniałym nieudacznikom, którzy zwykli mścić się na pisarzach za swe twórcze potknięcia, opadały szczęki. I co mu po tych panienkach, które za nim biegały, na finiszu tylko parę niedorobionych filolożek, Zośka z drugiej klatki schodowej, której zawsze brakuje na wódkę i dwie-trzy poetki, niegodne uwagi, do tego biedne jak mysz kościelna, słowem, jeszcze bardziej gołe niż on sam. A wierszykami i krótkimi opowiadaniami żołądka nie napełnisz. Nawet spalonego wódką na pieprz. A przecież trzeba uczynić ze swojej chaty dom, doprowadzić go do ładu, spłodzić dziecko małżeńskie, po Bożemu...
Najlepiej będzie zaproponować swoją rękę Muzie Iwanownie. Jutro, 31 października, są jego urodziny, więc tę sprawę trzeba załatwić dzisiaj. Żeby w swoje święto obwieścić, że on, Bazyl Bizun, nie jest gorszy od Stanisławicza, i żonę będzie miał w chacie, gospodynię, która będzie i dawać natchnienie, i karmić, i bronić przed tym,

co zbędne. Matkę dzieciom, uosobienie Ojczyzny. Tak, Muza Iwanowna — pasuje jak ulał. Dość romantyczna, ale i pracuje jak wół, wódki nie odmawia, ale przytomności nie traci, i ma poczucie humoru... Kiedy trzeba, to natrętów rozniesie, bo mocna jest ta córka rolnika i rolniczki. Aha, i język zna. Nawet nocą w języku ojczystym przez sen rozmawia. Jeśli trzeba, błędy poprawi. „Kiedy umrę, na moim nagrobku wszystko prawidłowo wykują!" — to najbardziej ucieszyło prozaika Bazyla.

Tak też się stało. Ujrzawszy wieczorem Muzę Iwanowną na ulicy Starowileńskiej, biegnącą z siatkami pełnymi książek i żywności, padł przed nią na kolana : „Tylko ty mnie ocalisz! Oddaję ci moją rękę!". Muza jęknęła, potem zakryła twarz chusteczką. Widocznie wzruszyła się bardzo. „Dobrze, Wasia, jutro porozmawiamy!" — parsknęła spoza białej chusteczki do nosa i poszła dalej. No, nie tak wyobrażał sobie ten wiekopomny moment Bazyl Bizun — on przecież drżał jak ten listopadowy listek na wietrze, a ona: „Jutro!". Na pewno pobiegła przygotować coś na urodziny — nigdy nie przychodzi z pustymi rękami, naniesie wszystkiego, żeby nakarmić zgraję zgłodniałych i spragnionych elitarnych i mniej dobranych twórców. Wtedy wszystko się wyjaśni. Bo dlaczegóż by miała się nie zgodzić — ona też jest wolnym ptakiem, i szanować się będą wzajemnie... I przyjemnie czasem razem z Muzą posiedzieć, pomilczeć, a nie z każdym pomilczysz we dwoje, zwłaszcza z kobietą.

Kobiety jego życia zaczęły przychodzić od rana. Pierwsza była Zośka. Pocałowała Bazyla chłodnymi, sinymi ustami, pachnącymi napojem alkoholowym i życzyła mu szczęścia. Potem Bazyl nie bardzo pamiętał, kto wchodził. Jakieś kolorowe osoby snuły się po pokojach i po kuchni, gotowały, smażyły, zahaczały biodrami o siebie, szeleściły jedwabnymi sukienkami. Te sukienki z jakiegoś powodu w wyobraźni Bazyla nie wywoływały innych skojarzeń niż jesienne liście za czerniejącym oknem. Trochę oprzytomniał, przywitał się jak należy, kiedy przyszła Marjema, rodem ze wsi jego ojca. Tato mu się przypomniał, po portweinie, jako oracz, za parującym końskim zadem, a potem na Łysku wierzchem, o wydatnych kościach policzkowych, zręczny, drobny, i jego twarde dłonie na jasnej główce syna... Bazyl

poszedł do łazienki, odkręcił kran z zimną wodą. Po pełnej wannie popłynęły świeczki, które Marjema przywiozła z Białegostoku.
— Zapraszam do nas! — otworzyła drzwi Muzie Iwanownie Ruta Bilecka w białym fartuszku.
— Do was? — w pierwszej chwili Muzie wydało się, że pomyliła drzwi. — Widzę, pani tutaj jak u siebie w domu?
— A jakże. Chcę oznajmić właśnie pani, że przed chwilą sławny Bazyl Bizun poprosił mnie o rękę — dumnie wzięła się pod boki znana dziennikarka radiowa. — Co prawda na razie jestem zamężna, ale urodzę mu syna. Żeby nie zginął sławny ród Bizunów.

Tłumaczył Oleg Łatyszonek

Karciny Katarzyny

Razem z Katarzyną Domina postanowiła napisać powieść-rzekę czy to rzekę-wywiad. „Dzieciństwo bez poziomek". Wszystko przez Profesora i Janajana, który ciągnął go za długi uczony język i wywlekał o otchłani profesorskiego jestestwa prawdy, krzywdzące jestestwo Katarzyny i Dominy, zresztą, bardzo się różniące. Lecz prawda jest prawdą, szczególnie gdy ją trzeba wyrąbywać siekierką. Profesor wierzy w drukowane, i gdyby go na starość, razem z innymi facetami, wyprostować (choć, jak mówią, takich pokrzywionych i mogiła prostymi nie zrobi), dziewczyny postanowiły wypowiedzieć się pisemnie. Aby cały świat zapoznał się z babską, lecz, broń Boże, nie tradycyjnie emancypancką, ideą.
Katarzyna to była artystka urobiona w szkole po pachy. Do tego w technikum elektrycznym. Urobiona i zgrobiona, lecz, mimo wszystko, rozkwitała od głupio zamglonych czy też bezczelnie wytrzeszczonych oczysk pryszczato-włosiastych tępaków, przegryzających pod wpływem pani wychowawczyni izolowane kable, aż im się sypały zepsute przez próchnicę zęby. Kawalerów ani na źdźbło nie interesowały ni kolor, ni styl, ni perspektywa, chyba że perspektywa nóżek Katarzyny, gdyby tak, wiecie, lec na podłogę... i stamtąd zobaczyć samą istotność pani profesorki... Ach, gdyby ten sufit był z czystego szkła — namiętnie mętniały ślepia na wągrzastych płaszczyznach durnych buziek. Ta myśl, jak się wydaje, też nie opuszczała Katarzyny, choć werbalnie pogardzała ona cielesnością niedoszłych techników, których jakie tam życie czeka: szlak na zieloną trawkę od razu po ostatnim szkolnym dzwonku. Lecz, co to gadać, też są ludźmi, na podobieństwo Boże, masa choć ważko-cielesna, dusze jakieś posiadająca, i dla tych dusz ludzkich trzyma się w szkole nauczycieli. Należy tę masę jakoś do kultury przygarnąć, dać strawę duchową. Do teatru zaprowadzić, do kina, obraz pokazać, książkę duraczkom. A w tej szkole, no kto, kto się tą książką interesuje? Nauczyciele? Pew-

nie, ci... humanistyczni... A może... ściśli? Pewnie sam pan dyrektor... Co? Katarzyna, jako kulturalno-oświatowy pedagog, nauczony na miejscowym uniwersytecie ze stołecznymi tradycjami, jest w pełni świadomości — nikt w epokę obrazków nie ma ochoty smakować ni wysokiej kultury, ni widzieć nie chce jej karcin-obrazów, do których chciałaby przywieść artystka ten absolutny i powszechny plebs, niezależnie od jego wykształcenia i osobistej kultury. Kto oceni w epoce graffiti jej grafiki, które tak szczodrze bazgrze ręka Katarzyny na białych gładkich sztywnych kartach. Białe place kartek, jak białe lilie — są cnotliwie-niewinne, i takimi będą nadal, gdy nabiorą się linii i kolorów, gdy dotknie się ich ręka Mistrza.

Z palców Katarzyny, z ołówka, pastelu, piórka czy zaostrzonego patyczka, jakby po był ciąg dalszy każdego jej ciemnowiśniowego paznokcia, wysuwały się to łagodnie-zawijaste, to ostre rysy, linie, żądła i plamki, śliskie jak ślina, to znów słone jak łza czy słodko-ciągliwe, niczym guma w ustach jej złotowłosej córeczki. Z portretów na czymś speszonego i nie wiadomo czym podnieconego widza spozierały jakby tygrysowate, drapieżno-pajęcze rozchełstane istoty o twarzach otwartych na twarde powiewy niewidocznego wiatru, co jakby wzlatywał do ust tego, co widział obraz w tym momencie, od płomienistych warg malarki. Ten ruch powietrza, zdawało się, aż marszczył biało-liliowe płaszczyzny twardych kartonów, jakby unosił je na ścianie albo w antyramach, jak koszule na żywym ciele. I choć wszystkie portrety były do siebie podobne, rozpoznać jednak można było ich bohaterów. Bo Katarzyna, plącząc i rozplątując linie, jakby zbierała do kłębka całego człowieka.

— Natychasz mnie, Katarzyno! — Domina wbiła oczy w białą kartę, która kędzierzawiła się czarnymi liniami, przyszpiloną do korkowej długiej deski na ścianie za stołem w pokoju Katarzyny. Stamtąd patrzyła na nią kudłata, wyszczerzona, długopalca osoba, o bujnym ciele, które rozrastało się w łopuchy, czasem wyginało się w łodygi z różanymi kolcami, a z nóg wypuszczały się pokręcone pieńki. A skądś, ni to z tych korzeni, czy też z Domininych wątpi (tak, chyba powinny być akurat w tym miejscu), wyplątywał się czy też plątał w to coś bezkształtną pętowiną-pępowiną On. Mężczyzna. Prawda, jakoś tak

wątło się prezentował przy portrecie Dominy, delikatny, kwietnie-pąkowy, dziewiczy...
— Rozumiem, że to ja jestem — puknęła palcem Domina mniej więcej w środek grafiki. — A ten to co za jeden? Jak to się u nas mówi — a kto on sam będzie? Za ciężko na moją filozofię, po kwasie chlebowym. Bez czegoś mocniejszego się w tym, no, nie rozbierzesz.
Katarzyna przyjrzała się swojej pracy, machnęła głową, a jej purpurowe włosy zatrzepotały wokół twarzy. W tym momencie Domina się skrzywiła — bardzo nie lubiła, gdy jej przyjaciółka przybierała, jak się jej zdawało, taką zmanierowaną pozę. Szczególnie to uniesienie dłoni, które nic nie podkreśla! Ot, przyjdzie się, choroba, ten gest wykorzystać w jakimś opowiadaniu! O!
— A toż to i On sam, ten mityczny mężczyzna. On nigdy, czy mnie słyszysz, nie odpępowini od swojej matki, pije soki...
— Aha, pijaczyna — kiwnęła Domina. — Oni wszyscy piją, tylko te soki nieczęsto. Słuchaj, on taki jakiś drobniutki, zdechlaczek, chudziusieńki. I irysem jest zakończony, po tej bujnej florze, którą mnie ozdobiłaś. Nie lubię, jak facet ma irysa na końcu.
— A mi się wydawało... To twój Doroteusz. Ty go lubisz. Cały taki jest, jak ten irys.
— A nawet i kocham. Mam taką fanaberię. Kończmy tę historię o sztuce, bierzmy się za naszą powieść-rzekę o Kobiecie.
— A kto nam ją wyda?
— Bogdan. Nie-e, on nie jest zdolny do takiej prowokacji.
— Co ty! Normalny facet z puszczy. I w świecie bywały... A może już nabrał się fluidów typowych? Mężczyźńskich?
— To go namaluj. Tak go odkryjesz i zneutralizujesz. Ale najpierw napij się kwasu, mi też nalej. Chlebowego.

Tłumaczyła Alina Leoniewska

Kulaska

Nie spodziewała się Maryśka, że jej kulaska tak wyczuje Moskala. Choć nie jej ta kula, którą pożyczył dla niej przyjaciel Jędruś, tylko stryjecznego wuja jego taty. Znaczy się stryjecznego dziadka. A dziadek ten, znaczy się, wojował w dwudziestym roku z bolszewikami. A potem z władzą narzuconą przez obce mocarstwo. Prawda, tą kulą wtedy się jeszcze nie był podpierał. To już potem, gdy stał się uznanym bohaterem walk o słuszną sprawę, znaczy się, całkiem niedawno, kilka lat nosił na co dzień tę metalową laskę z wygodną podpórką pod łokieć. Od święta dziadek Antoni podpierał się był elegancką góralską ciupagą. Wiadomo, przydawały mu się te potrzebne starcom przyjaciółki dotąd, dopóki chodził po tym naszym białym świecie. Gdy w chwale odszedł na niebiańskie pola walki, w spadku Jędrusiowi dostała się ta oto kulaska. Specjalnie zaznaczone było w testamencie, że stryjecznemu wnukowi, nieodrodnemu synowi słusznych idei, oficjalnie i uroczyście dostaje się w posiadanie kula bohatera, i posługiwał się był Jędruś kulaską, choć do słusznego wieku mu daleko — od klęczenia na przyświątynnych dziedzińcach od czasu do czasu do czasu zaczęło go łamać w kościach. I choć politycznie oni z Marysią raczej daleko jedno od drugiego, zobaczywszy koleżankę w gipsie, pożyczył jej dla wsparcia sławną kulę sławnego stryjecznego dziadka.

Kuśtyka Maryśka po ulicy w centrum województwa — a kulaska kieruje się sama z siebie nie do katedry świętego Mikołaja, a w drugą stronę — prowadzi do czerwonego kościoła. Zaszła Maryśka do tamtego kościoła, uklękła pod kopią Matki Boskiej Ostrobramskiej, litewskiej. Za Księstwo słowa z jej duszy płyną w modlitwie babskiej. A kulaska sama z siebie postukuje jej koło gipsu podgumowaną piętką : „Za Kresy módl się dziecko!" — „A idź ty, wiesz gdzie!" Oj brzydko kłócić się z własną kulą w świątyni. Tym bardziej, że Maryśka posyła wiadomo gdzie. A gdy kulaska pójdzie tam, dokąd ją po-

syłają jak Maryśka ruszy bez niej? Nie powiesz, że martwe rzeczy nie bywają złośliwe. No, jakoś uspokoiły się. Podniosła się Maryśka, wsparła na kuli prawą ręką i poszła swoją drogą. A kulaska prowadzi tam, gdzie siedzi jej prawowity właściciel. Pije piwo z nową narzeczoną. A dokoła niego — ciżba ludzka. Ale nie do niego się garną, a do jego przyjaciela, redaktora czasopisma literacko — artystycznego. I bardziej utalentowani, i plagiatorzy, i ci, którzy z geniuszem chcą się piwa napić. I jacyś cudzoziemcy też się tłoczą. Takiego samego „autoramentu", jak mówi Jędruś. I jacyś golono — kudłaci redaktorzy. Ruszyła Maryśka w ślad za swoją pomocnicą, nabyła pół litra soku grejpfrutowego z lodem. Przysłuchała się do gwaru ciżby. A kulaska z rąk się wyrywa:

— Ruskim tu czuć! — skrzypi rączką jak ten Kościej Nieśmiertelny, który poczuł Iwana — ruskiego bohatera schowanego pod łóżkiem. Moskal prędko opuścił kawiarnię.

Tłumaczyła Maria Bołtromiuk

Baśń o białej lilii i piwie

Damicela nalała z butelki do wysokiej szklanki puszystego, bursztynowego płynu. Piwo nie smakowało, ale lekarz poradził pić je od czasu do czasu, nawet przemagając obrzydzenie — niezbyt czysto pracowały jej nerki. Miały prawo się zbuntować — Damicela nigdy nie dbała o zdrowie, nie straszny jej był ni mróz, ni słota. Bywało, jej długie nogi, obute w za duże chodaki, niemal codziennie przemierzały kilka dziesiątków kilometrów. W takich ostępach, dokąd nie docierały autobusy PKS, a nawet trudno było złapać przelotny samochód. Nieraz, w dawnych czasach zdarzało się, że zabierały ją na szlaku auta, być może kierowcy liczyli na poderwanie samotnej babki, gdzieś na uboczu, choć nie wyglądała na TIRówkę, Boże broń. Teraz raczej przypominała, ze swym przerzuconym przez ramię plecaczkiem, z tęgawej postury, handlarkę ze Wschodu. A gdy, na domiar, jeszcze odezwała się gwarą, po tutejszemu!

Damicela była szanowanym socjologiem i człowiekiem nauki, niestety, zdecydowała się porzucić ciasnawe pokoiki naukowych instytutów (nie z przyczyny swej fanaberii, lecz z powodu finansowego krachu świątyni czystej nauki) i harcować jako „wolny strzelec" na kolumnach naukowej i popularnej prasy. Przede wszystkim świetnie orientowała się w plątaninie miejscowych dróg i ścieżek, poza tym fascynowało ją poznawanie charakterów, zwłaszcza tych czarnych i niedomytych. Potrafiła wypichcić smakowite kawałki z narodowego bytu i to starczało na swobodne życie za pieniądze z honorariów w kolorowych i szarych czasopismach dla typowych bab. Po prawdzie, tu i ówdzie należało nieco ubarwić albo przyczernić nasz byt, żeby nieraz przerazić szanownych czytelników, a zwłaszcza czytelniczki. Słowem, teksty Damiceli rozchodziły się jak ciepłe bułeczki o poranku. Oczywiście Damicela publikowała większość swoich rzeczy pod pseudonimami, między innymi Paula Lars, Mikołaj Budny, Stefan Lisiecki — Berg, Hanna Korybut. Prawdę mówiąc lubiła te

powikłane przygody różnego autoramentu dziwaków i nieprzystosowańców. Bywało, zaśmiewała się aż do rozpuku wywodząc meandry akcji każdej nowej historii, z uciechy klepała się po długich biodrach, kiedy ledwie żywy bohater wywijał się z intrygi, głupiała od poczynań słodkich blondynek i gorących brunetów. U tych, smagłych, męskich brutali pistolet za pazuchą, a policja za plecami... Och, gdybyż tak zakochać się, zaszaleć! Albo jeszcze lepiej, gdybyż w Damiceli zakochał się jakiś szalony brunet... Niestety, Damicela miała szczęście jedynie do wyblakłych, łysiejących blondynów... I jak się mówi, jak Bóg da, to wszystko cię w życiu spotka...

Damicela wsunęła drugą, spotniałą, zimną szklankę w niemal martwą dłoń Darafieja. Skwapliwie zacisnął palce. I sam, jakby ze zdziwieniem, popatrzył na swoje obgryzione paznokcie. „Ja to tak... od szóstego roku życia..." — Smakują? Czy z bezmiaru rozpaczy? — zabawiła się w terapeutkę Damicela. Przemilczał. Potem znowu zabrał się za dręczenie białej lilii, z dwoma rozkwitłymi, mdławo woniejącymi kwiatkami. Lilia, znak niewinności i cnoty. Wręczył ją Damiceli. Kupił był po drodze do kawiarni „Marszand", bo tanie są lilie. I wielkie, smukłe. Damicela musnęła delikatne, mięsiste, długie płatki umierającego bez wody kwiatu. Aha, kona, pomyślała, kona na tej lepiącej się, zalanej piwem powierzchni kawiarnianego stolika. „Darafieju, czyżbyś się znowu pomylił?" Nasłuchawszy się tylu wyznań kawiarnianych bywalców, zwłaszcza po kilku kuflach, kiedy to obdarzali ją wszelakimi, wyszukanymi imionami i komplementami, co przenikało ją od głowy aż do pięt i z powrotem, Damicela i tym razem słuchała Darafieja ledwie jednym uchem. Ale coś skrobało i ćmiło w piersi. On! Przecież to On! O Nim myślała przez cały ostatni kwartał, i nocą, i we dnie na szlakach małej ojczyzny, jedząc posiłki i chodząc, pisząc i malując usta w swój ulubiony, pąsowy, połyskliwy kolor, zapinając i rozpinając suknie wobec innych, w wannie i na ulicach miasta wojewódzkiego, które nie powinno istnieć, ponieważ pobudował je szalony architekt na krzyżujących się wodnych ciekach.

A tu Darafiej oniemiał przy niej, świeciły się tylko jego szare oczy. „No, za chwilę przesłoni je gorzka łza! — spostrzegła się Damicela. — Płakać to on potrafi. Lecz nie potrafi dostrzec kobiecej łzy, chami-

sko ten, o nie! I kiedy łyknąwszy jeszcze raz ze swej ostygłej szklanki, usłyszała jak Darafiej nazywa ją Inessą, ścisnęła zęby i zasyczała:
— Do widzenia, Darafieju. Dobrze, że chociaż nie nazwałeś mnie tutaj Mikołą Budnym. Nie zapominaj mnie, swojej Inessy i Kleopatry, a tak po prawdzie Penelopy i Ksantypy razem wziętych...
— Jaka znowu Ksantypa?! — Darafiej zamachał długimi rękami, potrąciwszy przy tym butelki od piwa. Łodyżka lilii machnęła króciutkimi listkami, chlipnęła płatkami, potoczyła się po klejącej się politurze stolika.
— No, przecież to szaleństwo! — krzyknęła Damicela. — Co ci zawiniła ta biedna lilia?!
Z gardła Damiceli wyrwał się nie krzyk, a jakiś pisk, niby orlicy.
— Jakie znowu szaleństwo? — zdziwił się Pepe przy sąsiednim stoliku, szarpiąc siwy wąs; Pepe był autentycznym Włochem. Dziś w „Marszandzie" stawiał wszystkim, ale, to oczywiste, dość rozsądnie. Jutro wraca do swego rodzinnego Neapolu. W Białymstoku nie dorobił się, więc i dzisiejsza strata — to nie za duża strata. Niech wszyscy tutaj nażłopią się do usrania tego piwa! Ile wlezie w te nienasycone gardła. I przypomniało mu się: — Ale po co zaraz krzesła łamać?!
— Krzesła? — podniósł się Darafiej.
— Siedź, jak siedziałeś — westchnęła Damicela i pomyślało jej się, że nic nie wart taki typ, co nie zna klasyki.
— Ja już wychodzę. Straciłam kwartał swego życia.
— Kwartę? — zapytał powtórnie Darafiej, powiódłszy po Damiceli swoim aksamitnym okiem.
— Kwartał swego życia.
— A czy on tobie coś obiecywał? — zainteresował się Pepe i popatrzył na Darafieja, jaki znowu zabrał się za obgryzanie paznokci.
Damicela wychyliła niską szklaneczkę, gdzie w cocacolowym płynie bełtały się sześcianki lodu — podsunął ją nie wiedzieć czemu wzruszony Pepe.
Trzeba do ubikacji. Tam znowu będzie wisieć ta gnijąca onuca, jaką w swym kultowym tekście uwieczniła pisarka białoruska Handzia. Na samo wspomnienie Damicelę zerwało na wymioty. To przez te nie przespane noce, obłędne, niemal bezprzytomne dni jej głupiej

miłości do Darafieja. Gdybyż choć powstał z tego dobry temat na niewielkie opowiadanie!

Damicela siedziała w marszandzkiej ubikacji, zamknąwszy drzwi na zaszczepkę. Nie, to tylko pęcherzyk! — przypatrzyła się palcu, przyciętemu drzwiami. Razem z przetworzonym we wnętrznościach piwem „Żubr" wypływała z Damiceli cała jej nieszczęsna miłość do faceta z poobgryzanymi paznokciami. „Nigdy jeszcze nie wypiłam tyle piwa, co w tym kwartale! — westchnęła. — Przez całe życie!"

Lekka jak motylek wyfrunęła na Rynek Kościuszki. Na kawiarnianym stoliku pozostała, mokra od piwa, zwiędła biała lilia. Damicela wróciła do „Marszanda" po zmiętoszony kwiat, zaniosła go do domu.

Tłumaczył Jerzy Plutowicz

Jaryna

Za pociemniałą szybą prószy deszcz. Okna zostały umyte wczoraj. Tak samo jak żaluzje, podłoga w kuchni i w korytarzu, białe drzwi wejściowe. Czasu było dużo, i Maniek, żeby nie zaprzątać głowy natrętnymi bezsensownymi myślami, znów zabrał się do sprzątania mieszkania. Dom był pusty od pół roku. Tylko nowe meble, komputer, książki, sam Maniek i kot Mustafa Wąsaty. Wszystko, co przywoływało wspomnienia o tym, że tu mieszkała Jaryna, Maniek wyrzucił. Najpewniej po to, żeby potem nie żałować. Ubrania spakował do foliowych worków i wrzucił do kontenera na używaną odzież dla biednych, książki zwalił na taczki wujka Jasia, który zbiera w blokach makulaturę. Najróżniejszych papierów było sporo — notatki Jaryny, zapiski, stare kalendarze — dziewczyna wprowadziła się do domu Mańka z tym wszystkim, co miała ze sobą; dużo tego było, a prawie wszystko nosiła w swojej przepastnej torbie. A teraz nie nosi. Maniek nie wie, gdzie jest Jaryna. Nagle znikła.
Wtedy na podłodze zostały czerwone krople.
Maniek zgarnął ze stołu naczynia. Tylko tutaj od wczoraj nie sprzątał. Mania sprzątania została mu od śmierci babci Marysi. Żadnej plamki nie zostawi, wypatrzy każdy pyłek. Nawet liście kwiatów przeciera i pucuje. I ręce raz po raz myje. Jakiś dziwny tłuszcz wciąż skleja mu palce. Jest na nich zapach włosów Jaryny. Ni to macierzanki, ni to rumianku. Spoconego kobiecego ciała. Chociaż Jaryna pozbywała się swego naturalnego zapachu, jak mogła. A może także zapachu przyjaciela. To jedno mieli wspólne — pragnienie nadmiernej czystości. Gdyby można było, pewnie by nie jedli, bo trzeba chodzić do toalety.
Najczyściejsza jest wódka. Spirytus. Maniek przeciera palce watką wetkniętą w gardło otwartej butelki z „Wódką lodową". Kot marszczy nos na kanapie. Mustafa Wąsaty nie lubi, gdy Maniek pije wódkę. Gdy dużo pije, zapomina wymienić mu piasek. Mustafa Wąsaty tak-

że lubi czystość i porządek. I żeby miska była pełna. Gdy była Jaryna, lepiej się żyło i kotu i gospodarzowi. Miska była zawsze napełniona, i to tym, co kotu smakowało — pieczoną świńską wątróbką, smażoną rybą, polędwicą. Ale Jaryny nie ma. Kot postarał się zapomnieć, czym pachnie jej ciało. Jak smakuje krew Jaryny na podłodze. Na samo wspomnienie chowa się do kanapy. A tam leży jej bluzeczka, kot sam ją ukrył. Wtedy Maniek zgarniał jej ubranie, upychał do foliowych worków, żeby jak najszybciej wynieść na ulicę. Mustafa wyciągnął szmatkę, szybko wskoczył do nierozłożonej kanapy i wsunął bluzeczkę, przesiąkniętą zapachem Jaryny, za poduszkę. Teraz, gdy jej nie ma, a Maniek chodzi jak automat z jednego pokoju do drugiego, kot chowa się do swojej sekretnej kryjówki i oddaje się przyjemności kontaktu z nieobecną. I udeptuje-ugniata szmatkę, jakby wtulał się w zapomniany brzuch matki.

Maniek dotyka aparatu telefonicznego. Podnosi słuchawkę. Słychać sygnał, chociaż abonament jest nieopłacony. Już od dawna, gdyby ktoś chciał tutaj zadzwonić, powinien usłyszeć w słuchawce, że połączenie z tym abonentem jest niemożliwe. Albo aparat w ogóle powinien milczeć.

— Nie ma takiego numeru! — śmieje się nagle Maniek do słuchawki i rzuca ją na stół.

— Jak nie ma? — słyszy lekko zachrypnięty od papierosów głos Jaryny.

— A ty skąd się wzięłaś? Przecież umarłaś! Nie, nie umarłaś! Ciągle mi na złość robisz! Ja chcę, żebyś umarła.

Telefon milczy. Nawet tego sygnału nie słychać. A niby dlaczego miałby być czynny?

Jaryna przecież sama nosiła pismo do Telekomunikacji, bo Maniek się bał. Nie lubi urzędów, biur, urzędników, wszystkie sprawy załatwiały kiedyś mama albo babcia. Oczywiście, w jego zawodzie, gdy codziennie musi kontaktować się z nieznajomymi ludźmi, każda minuta jest torturą. Więc żeby nie bolało, trzeba się złościć. Nienawidzi tych durniów za biurkami w urzędach, instytucjach, ministerstwach. Po dwóch godzinach wytężonej nienawiści Maniek musi się napić. Wtedy łagodnieje, odpręża się. A w domu była Jaryna. Duża, obło-

żona notatkami, do której co chwilę ktoś dzwonił, i po tych telefonach gdzieś się spieszyła. Żeby przynajmniej zajmowała się swoimi sprawami! Z torbą, z której wysypywały się jej notatki, rękopisy, wydruki e-maili w różnych językach, tabletki... Nawet Mustafa Wąsaty próbował zrobić porządek z bałaganem Jaryny, rozgrzebywał, zagarniając jej skarby z powrotem do przewróconej torby. Zdarzało się jednak, że Jaryna stawała się pedantyczna i zabierała się za sprzątanie mieszkania Mańka i swoich rzeczy. Szczególnie wtedy, gdy przyjaciel chorował. A zdarzało mu się to coraz częściej — gwałtowna gorączka, ostry kaszel, ból w piersiach. Tak umarła babcia Mania. I ojciec. I mama. Wszystko — od papierosów. A może to sprawa genetyczna. Już pradziadowie chorowali na gruźlicę, cały ich ród chorowity, choć niektórzy do setki dociągnęli... Maniek pokasływał w swoim pokoju, pochylony nad komputerem, a Jaryna zanosiła się kaszlem w swoim, waliła w klawiaturę laptopa. Spod drzwi obu zamkniętych pokoi snuł się siwy dym. Zezłoszczony Mustafa chował się do kanapy.

Przez dwa ostatnie tygodnie było dobrze. Cisza w domu. Maniek miał tylko dobre sny, które zapamiętywał. Tamtego dnia nie wstawał z łóżka. Razem z kaszlem przez zęby wyrwała się krwawa flegma. Mustafa położył mu się na piersi, żeby wypędzać chorobę. Jaryna wróciła z delegacji wieczorem. Rzuciła torbę na łóżko. Z jej oczu wyzierał niepokój — jej sny nie były dobre i jasne. Umyła ręce, pospieszyła do kuchni szykować obiad.

— Kochany, widzę, że od rana nic nie jadłeś?

Oboje starali się nie używać słów mówiących o uczuciach. To było śmieszne.

Dziewczyna wrzuciła na patelnię mrożoną rybę. Mustafa ocierał się o jej nogi.

— Co ty robisz w moim domu?! — Maniek w koszuli i slipkach, rozpalony od gorączki, trzymał w ręce nóż kuchenny. — Wyrzucę tę rybę przez okno razem z patelnią, ciebie zabiję! Będę bić w szyję, w piersi, w głowę! Wyrzucę ciało przez okno i sam wyskoczę! Żebyś ty wiedziała, jak ja nienawidzę twojej cielesności!

Maniek nie pamięta, co się zdarzyło potem. Na podłodze czerwieniała zakrzepnięta krew. Trzeba ją było długo wycierać. Rankiem

nie było ani Jaryny ani jej torby, ani jej przenośnego komputera. Co prawda, z domu można było wszystko wynieść — drzwi były otwarte na oścież. Rano obudziła go sąsiadka, pani Grażka: na progu mieszkania siedział straszny Mustafa.

Jaryny nigdzie nie ma. Może jest już po tamtej stronie, tam gdzie babcia Mania, mama, ojciec, dziadek Wiaczesław? Przychodzą do Mańka we śnie wszyscy razem, siadają na kanapie. Babcia drepcze w kuchni, chce zmieniać tapety. A Jaryna w tym śnie idzie za babcią do kuchni, smaży śmierdzącą rybę, żeby nakarmić swego najlepszego przyjaciela.

Tłumaczyła Anna Sobecka

Pierzyna

Agata w złości miesiła rozmokły śnieg. Jeden krok do przodu — pół kroku do tyłu! Przenikliwy wiatr chłostał jej zmokłą twarz. Rozpięła kurtkę, rozluźniła szalik. Jeszcze tego brakowało, przeziębi się! Do tego miała ochotę położyć się do łóżka! Może dobrze byłoby wyleżeć się, pochorować. Napić się herbaty lipowej, nałykać aspiryny, natrzeć się i dobrze wypocić się w pościeli. We własnym łóżku, pod puchową pierzyną. A tej pierzyny, którą podarowała jej babcia, po prostu nienawidziła. Któż dzisiaj nakrywa się gęsim puchem! Czy to w mieście, czy też na wsi. Niemodne jest, mówiła babci Wierze Agata, spanie pod pierzyną. Babcia popatrzyła na mającą już swoje lata i bojącą się staropanieństwa wnuczkę: „Nieważne pod czym się śpi, lecz z kim!" Pewnie jakiś urok rzuciła na tę pościel, albo coś zaszyła w pierzu, bo od tej pory Agata od kawalerów odegnać się nie mogła. Ale cóż to za kawalerowie! Bez mieszkania, bez pracy... Jedno im tylko w głowie, aby tylko pod tę pierzynę wskoczyć.
A później choć ty z bólu wyj. Nie dzwoni, nie przychodzi, nie odprowadza... Mieszkanie Agata ma swoje, umeblowane, z pełną lodówką, lecz jakieś niefartowne. Jak tylko ktoś wkradnie się do jej serca, zaraz znika jak rozdeptany śnieg. Tylko brudna plama zostaje. Na przykład dzisiaj — przyszła do kawiarni „Piwne łzy", a Szymon Berg ze swoją studentką piją piwo. Rzucił „hello" i nawet nie spojrzy. Gapi się tylko na tę swoją dziewuchę, jakby zamierzał ją połknąć. A jest na co patrzeć. I o Kancie rozmawia z tą kretynką. A czymże może pochwalić się ta głuptaska — pewnie biustem numer sześć. Bo rozumem chyba nie. Gad przeklęty, cały tydzień nie telefonował. Szukała go Agata po wszystkich pubach, jakby tam było miejsce dla takiego naukowca. Siedziałby w domu, żony i dzieci pilnował, a nie ze studentkami piwo pijał!
Nie, przed pójściem do pustego domu, skąd wyprowadziła się siostra Agaty do wynajętej kawalerki, trzeba zajść do kawiarni odwiedzanej

przez twórców. Można tam spotkać artystów i pismaków. Tydzień temu Agata pokazała swoje próby literackie samemu redaktorowi Hermanowi Suzinowi. Ten, dowiedziawszy się od niej, że pracuje jako sekretarka w szkole, uśmiechnął się tylko, ale zeszycik Agaty wziął do przeczytania w domu. Takich kartek zroszonych łzami ma on pełną czarną torbę, ponieważ każdemu adeptowi obiecuje zapoznać się z jego utworami. Sam Suzin pisze mało i rzadko, lecz decyduje o życiu literackim całego miasta. A siedział z nim wtedy, jak zawsze z nadętymi rumianymi policzkami, redaktor Zygmunt Bryś. Bryś, znany z czarnego humoru, wyciągnął garść papierosów z jej paczki. Agata syknęła: „Czego? Pytałeś?" Bryś odburknął: „Ty, suko chuda!" Oblała się łzami i ledwie dopiła swoją lampkę wytrawnego wina. Biegła do autobusu półoślepła ze złości i żalu. Tego wieczoru spotkała ją jeszcze jedna nieprzyjemność. Za jazdę na gapę zafundowano jej grzywnę.

Dzisiaj w kawiarni „Mroczne marzenia" przy piwie siedziały wszystkie ważne persony miejscowego światka literackiego. Do otoczonego aurą tajemniczości stolika zawołał Agatę sam Bryś. I pokazał palcem: „To moja dziewczyna Agatka". Następnie otworzył zeszycik zatytułowany „Mój sen niesenny". Otrzymał go od Hermana. „Jestem w szoku — dodał. — Mnie twoje sny niesenne śniły się". I rozkaszlał się. Brała go grypa.

W tę noc Zygmunta przykryła znakomita pierzyna. I sen niesenny śnił się im obojgu. I stał się cud. Bryś nie zniknął. A na jego twarzy zagościł uśmiech, którego publika dawno nie widziała. I wiersz Brysiowi udało się napisać. Nie tragiczno-humorystyczny, lecz całkiem liryczny.

Tłumaczył Witalis Łuba

Mariusz

Mariusz czekał na ojca. Czekał od czasu, gdy zepsuł się podarowany mu rower. Ten trójkołowy czeski rowerek stał się „corpus delicti" w sądzie. Gdzie rodzice się rozwodzili. Dowód tego, że ojciec pomaga Marii w wychowaniu syna. Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda — tłumaczyła matka babci Renacie, a Mariusz nie pojmował, gdzie zęby w rowerze, może chodziło o zęby w łańcuchu?... Ten rowerek Mariusz zajeździł na osiedlowym ścieżkach. Przestał już czekać na ojca. Choć tęsknił — jego tatuś był znany w całym kraju. Przyjeżdżał nas odczyty do Białegostoku. I całe życie wypytywano Mariusza o słynną macochę — z biegiem lat nawet częściej niż w dzieciństwie. Dorastał Mariusz myśląc ciągle o ojcu i macosze — i w końcu przestał nienawidzić, gdy stał się dorosły. Macocha była kobietą mądrą, z klasą — mogła być dobrą przyjaciółką, znajomą. Mogła się przydać w życiu, w karierze. Ciągle wspominała: „Byłeś, Mariuszu, moim pierwszym dzieckiem"... A ten rowerek, kupiony naprawdę przez macochę, jak się później dowiedział, ciągle stoi mu przed oczami. Trzeszczy łańcuszek, brzęczy dzwonek, poskrzypuje siodełko — to jeżdżą maluchy po tym samym osiedlu, na którym mieszkał Mariusz z mamą i babcią, gdzie od czasu do czasu zaglądał ojciec, upewniwszy się uprzednio telefonicznie, że w domu nie ma kobiet. A gdy odszedł na zawsze, też czekał Mariusz na telefon od ojca. Albo dzwonił sam, żeby się dowiedzieć, kiedy ojciec przyjedzie. Tak do siebie mówili — „Adam", „Mariusz". Obaj przecież byli dorośli. Z obydwoma synami Adam był po imieniu — i z Żorżem, i z Mariuszem, i z małą jeszcze Aleksandrą. Tylko imion żon nie pamiętał.

Nie przyjechał Adam na Boże Narodzenie. Nie lubi rodzinnych „spędów". Nie przyjechał ani do Mariusza, ani do brata, ani na groby rodziców. Jeszcze raz zatelefonował Mariusz do stolicy.

— Jestem zmęczony — odezwał się w słuchawce przepity głos. — Daj mi spokój. O, przypomniałem, twój brat, ten Żorż, zmarł niedawno.

— No, tam, w Szwajcarii. No, leży w kostnicy. Pytasz dlaczego nie przyjechałem na pogrzeb twojej matki? Czyż nie mówiłem Ci, panie Mariuszu, żebyś mnie nie zawiadamiał o jej śmierci? Muszę unikać wstrząsów, przeżyć. Nie wolno mnie niepokoić. Mam zniszczone nerwy. Nawet na pogrzeb swojej matki nie mogłem pojechać. Jestem artystą, muszę się oszczędzać... Rozumiesz...Przecież ty też — tak jak ja... No, przestań, nie wypytuj, kiedy pogrzeb Żorża. Macocha pojedzie po urnę. Spala go w tej Szwajcarii.
Z rąk rozdygotanego Mariusza słuchawkę wyrwała jego przyjaciółka.
— Czy pan nie może chociaż raz w życiu rozmawiać normalnie z synem?
— Dziecino, jestem zmęczony. Dajcie mi spokój. Chcę żyć.
— Nie jestem dla pana „dzieciną" — mam trzysta lat!
— Nigdy nie wtrącaj się do cudzych spraw — odciął się trzeźwym, zdecydowanym głosem. Nie wy jesteście inżynierami dusz.
Mariusz kruszył w dłoniach opłatek.

Tłumaczyła Maria Bołtromiuk

Muza

— Nic nie chcę wiedzieć — odpowiedziała samej sobie Mirosława, odpowiedziała na pytanie, jakie tłukło się pod jej czaszką niby spłoszony ptak. Naciągnęła na głowę białą, atłasową kołdrę. Śliska, ciepła materia nasuwała się na powieki, w zielono-żółto-czerwonych refleksach obrazów, w formie trapezów-rombów, wnikających ukośnie pod czaszkę, by topiąc się przekształcić w ciepłą strużkę wody czy łez. Tak, to łzy. Słono stoczyły się do kącików ust, po naprężonej szyi z kosmykami mokrych włosów, po obojczyku, i jeszcze niżej, do rowku między piersiami. Mirosława mocno wtuliła się w suchą kołdrę, wyprostowała się na cały wzrost, z zaciśniętymi nad głową dłońmi. W palcach poczuła ziąb, ale całe ciało ogarnęła drżąca, ciepła fala. Wstrząsnęło nią niby uderzenie elektrycznego prądu. Ogarnął ją sen dziecięcy, jak niegdyś, jak dawno, dawno temu...
— To miało być psychologiczne opowiadanie — odezwała się Muza zzuwając ciężkie, skórzane buty jeden o drugi. — Znowu chodziłam bez skarpetek .
Muza mówiła do siebie — Mirosława nie miała zwyczaju wysłuchiwać jej nawet wtedy, gdy nie spała. Muza położyła się w poprzek łóżka, głową na Mirosławy łono, zmęczone stopy zarzuciła na oparcie fotela. Owszem, to miało być psychologiczne opowiadanie, a może nawet krótka powieść. Lecz by coś napisać, trzeba po prostu siąść i napisać. Zwłaszcza na powieść, nawet krótką, trzeba poświęcić sporo drogocennego czasu, jak też papieru... Można też od razu zasiąść do klawiatury, żeby oburącz nadążyć za myślą. Samej Muzie po prostu nie wypada... Nawet jeśli zgarbi się na obrotowym krzesełku — niestety, skrzydła przeszkadzają. Nie wiadomo, co lepiej, czy na bok tę pierzastą parę, niemałą przecież, skierować, czy po plecach, wzdłuż kręgosłupa, opuścić. Istne nieszczęście z tymi skrzydłami. Zazwyczaj objawiają się pod wieczór i jakże dokucza wtedy ich obecność. Niech no tylko wybierze się Muza wraz z Mirosławą do pubu,

gdy całe pubowe towarzystwo jeszcze nie opite piwem. Trzeźwy od razu zauważy, że ta blond towarzyszka czarniawej Mirosławy — coś jakby z tyłu za bardzo garbata, a w dodatku jakby pozbawiona piersi. A po cóż Muzie piersi?! Jak powiada Jarosław: gdyby je miał, sam ze sobą by się zabawiał.

Jarosław jest podopiecznym Apolonika, brata-sobowtóra Muzy. Artystą bywa nieraz ten Jarosław — smaruje jakieś tam grafiki. Niestety, niewiele sił już sił pozostało, temu Jarosławowi, by grafikę tworzyć, a tym bardziej wyobrażonymi piersiami bawić się. Apolonik tak samo nie ma już siły! Ponieważ przystawiono go do Jarosława jako stróża natchnienia, tam, na olimpijskich wyżynach, i tylko, jak to się mówi, śmierć ich może rozłączyć, albo absolutna utrata talentu. Albo, przynajmniej — wzroku. A jest to dla artysty — czysta tragedia. Apolonik spotkał się niedawno z Muzem Ryhora Danczanki z Mińska, a ten Muz — pogrążony w rozpaczy i lęku. Już nie będzie malować obrazów Ryhor — z tej prostej przyczyny, że przestał widzieć. I choć przed oczyma Ryhora wciąż stoją obrazy, i te, które namalował, i te, które mógłby jeszcze stworzyć. I Muz zostawić go nie może, a mógłby, gdyby nie sumienie. A tu, w Białymstoku, kiedy rozum śpi Mirosławy, kiedy ona nic wiedzieć nie chce, czyż powinna siedzieć Muza jak głupia, zzuwszy buty? I czekać na przylot krewniaków albo natchnienia? Przecież dziś piątek. Lud artystyczny po kawiarniach szaleje. Niech więc śpi Mirosława, a Muza z braciszkiem pójdą sobie pomaleńku do baru z piwem w centrum polskiego wojewódzkiego miasta średniej wielkości.

Apolonikowi to dobrze, bo skrzydła ma ruchome i w dodatku łatwo je złożyć. Zechce, to sobie lata, zechce — chodzi. Nawet podczas jazdy pociągiem czy autobusem, nikt go nie zdemaskuje, co zwykle grozi Muzie, składane skrzydła łatwo przecież schować do walizki albo plecaka. Apolonik niezbyt lubi plecaki, jak by nie było, nie dwadzieścia latek ma, a ponad dwa i pół tysiąca. Czyż wypada mu nosić na plecach torbę ze spakowanymi skrzydłami? Tym bardziej ryzykowne jest zostawić je w domu — strach, że użyją je dzieci Jarosława do zabawy, a lubią to robić, i dużo ich, tych jego dzieci, bo Jarosław lubi bawić się cudzymi piersiami. I świetliste skrzydła zniszczą! A nowych Apolonik już nie otrzyma, bo już siedem par zmarnował. Niszczyli

mu tę świętą i potrzebną ozdobę i podopieczni, rozjuszeni niedostatkiem twórczej inspiracji, poza tym tracił je w trakcie transportu, porwali je mu też w restauracji „Cristal" jacyś podejrzani kamraci, bo zdarzało mu się upijać z byle kim... W Sankt-Petersburgu to nawet omal że razem ze skrzydłami głowy nie stracił! Lecz bez skrzydeł, gdzieś pod bokiem czy za plecami, Apolonik czuje się niezbyt pewnie. Zwłaszcza po wypiciu piwa. Bo skąd wziąć ambrozji czy nektaru? Raz w roku przysługuje prawo Olimp odwiedzić, dwa razy do wuja Apolla polecieć, wszystko to, wiadomo, w Grecji, a tutaj jest się zmuszonym pić to co i twój artysta. Bo nie będziesz przecież siedział o suchym pysku, kiedy upija się brać artystyczna. A w dodatku można takie teksty od artystów usłyszeć, że nie pozostaje nic innego, jak tylko się urżnąć. Antydopingowa kontrola niczego nie wykryje. A ten Jarosław, kiedy wreszcie stwierdzi obecność Apolonika, sam znajdując się w odlotowym transie, bierze go po prostu za zwyczajnego kompana od butelki. Tylko żeby choć wtedy poczuł twórcze natchnienie! Niech by nawet na papierowej serwetce coś nabazgrał. Spod ręki wyrwałby mu Apolonik to dzieło, poniósłby na skrzydłach wiatru do samego Apolla! Muza przynajmniej od czasu do czasu potrafi motywować swoją Mirosławę do jakiegoś twórczego wysiłku... A jak stroi się ta Muza: w czarne skórzane buciory na grubej podeszwie! Gdyby nie te buty, nie utrzymałaby się na ziemi. Szybowałaby nad dachami domów podobnie jak sama Mirosława... A ona, ta Mirka, wciąż śpi, a muza poleguje z wielkimi stopami zarzuconymi na oparcie fotela. I po cóż muzom takie człapaki?! Czyż mało im skrzydeł?!
A tu raptem ten nieszczęsny bliźniak Muzy objawił się — przestąpił przez biały mur Mirczynej chaty. Zatęsknił był Apolonik za siostrą, porzucił w otchłani kawiarni swego artystę. Szybko więc wyruszyli do kawiarni „Marszand". Muza rozsiadła się za stolikiem strategicznym w kątku, wraz z Jarosławem i Skrzypkiem z Kurlandii, cedziła piwo i popatrywała na piękny profil Skrzypka. Ot, i jej przydałby się taki zarys twarzy. Spojrzała do góry, na szklany sufit. Obróciła się i tak, i siak — obrzydł jej własny grecki nos i od niemal trzech tysięcy lat klasyczny owal twarzy. Może wymienić się z Piotrem? A te skrzydła pod czarną kurtką jakoś swędzą, podrapać by się...

— Pozwól, podrapię cię w plecki! — zaofiarował się Jarosław zionąc alkoholem.
— Gdzie jesteś, Apolonik? — zlękła się raptem Muza.
Apolonik zielonooko spoglądał na siostrę spoza zapoconych z przerażenia okularów w drucianej oprawie. Sterczał, przygarbiony, pośród marszandzkich stolików, w zmiętym, koloru piaskowego płaszczu, wychudzony, z opuszczonymi, długimi rękawami, pijaniuteńki i nieszczęśliwy.
— Zgubiłem swoje skrzydła, ale to już ostatni raz.
— A leć ty do diabła — nielogicznie poradziła Muza. — A Mirosława tam sobie śpi i o niczym nie chce wiedzieć. Ale nie ty jesteś jej muzą, Apoloniku. To mój kłopot.

Tłumaczył Jerzy Plutowicz

Piłka nożna

Lało. Deszcz był rzęsisty, ostry, zbyt zimny jak na tę majową porę roku. Ten deszcz właśnie rozgonił niemal wszystkich klientów z kawiarni w centrum, gdzie właściciel, w trosce o dobro klienta, porozstawiał parasole nad ławkami i długimi stołami, pod oknami swojej kawiarenki. W pogodne dni często przesiadywali tu profesjonalni artyści, których obrazy kurzyły się na pasażu, oparte o murek (amatorów przegonili na drugą stronę ulicy), agenci ubezpieczeniowi, politycy z prawa i z lewa (ostatnich było trochę mniej), pismaki różnego kalibru, krytycy i redaktorzy. Od czasu do czasu przychodziły tu osoby o nietypowych poglądach seksualnych, hałaśliwi policjanci, były żołnierz z Bośni, wiecznie z czegoś niezadowolony gruby detektyw-gaduła... Gdy wchodziła kobietka z dzieckiem albo nauczycielki z jakiejś konferencji, było to wydarzenie, wręcz cud. Gdy pada, zachodzi tu każdy...

Z mokrą twarzą, w przemokniętej czerwonej kurteczce, rzuciłam się w znajomy kącik kawiarenki, skąd wszystko widać. Siedzi się tam jak u Pana Boga za piecem — sączysz sok czy piwo i obserwujesz ten cały zwierzyniec. Gorzej, gdy zechce ci się szklankę gorącej herbaty. Wówczas przyniosą maciupeńką filiżaneczkę, w której z trudem się mieści herbaciana torebka. Wleją wody z pół naparstka.. Do tego jeszcze na talerzyku plasterek cytryny i kostka albo dwie cukru.

— Czy mogę prosić o większy kubek? — zapytałam młodą kelnerkę, która jest nowa, ale już zna mnie z imienia. — Chce mi się pić, lubię gorącą herbatę.

— Nie wolno.

— A czemuż to?

— Bo mamy tylko takie filiżanki.

— To wlejcie do kufla na piwo.

— Pęknie.

— A czy macie zwykłą szklankę?

— Nie mamy. Nie mamy takiego zwyczaju...

— To może do grubej szklanki do whisky? Może nie pęknie. A jak pęknie, to zapłacę za tę przyjemność.
Panienka wzruszyła ramionami, jakby dostała jakąś bezsensowną propozycję albo ktoś namawiał ją do grzechu, lecz przyniosła napój i podstawiła mi pod nosem.
— Widzę, że wody jest dwa razy więcej, niż w znanej filiżance, pewnie i płacić trzeba będzie podwójnie! — kiwnęłam w stronę ciemnowłosego pana z wąsikiem, znanego z tego, że pracował nad szyldem bernardyńczyka. Znałam go, bo kiedyś jako pierwszy odezwał się do mnie po białorusku.
— Trzeba się ubezpieczyć! — rzucił hasło.
— Już się ubezpieczyłam!
Siorbnęłam gorącego napoju, z którego jeszcze nie wyrzuciłam torebki, by naciągnęła więcej jeżeli nie aromatu, to bynajmniej koloru herbaty o nazwie „Tetly" (tak było napisane na papierowej zawieszce doczepionej do niteczki, co zwisała z boku graniastej szklanki). Jeszcze nie wiedziałam, że ubezpieczenie nie ubezpiecza — pomimo informacji, której udzielił mi bezzębny czarodziej, były muzyk (który częściej bywał w innej kawiarni). Czarodziej ów przepowiedział mi jeszcze tego lata złamanie nogi, palca i miednicy. Nie ubezpieczyłam się tak dokładnie, a za dwa miesiące posypały się na mnie nieszczęścia...
Zaczęło się od nóg. Nasza z Siliwonem pogawędka potoczyła się jednak nie na temat odrębnego ubezpieczenia moich, jakże kosztownych nóg, których zadaniem jest pokonywanie długich kilometrów w poszukiwaniu ciekawych tematów i ludzi, lecz na temat piłki nożnej. Przez otwarte drzwi wleciała nagle piłka, mokra i śliska, za nią wpadł chłopaczek, jeden z tych, co to usiłują zarobić parę groszy myciem szyb w samochodach zatrzymujących się w okolicy. Piłka, pobłądziwszy między stolikami, została wykopana na zewnątrz przez śniadą i podrapaną nogę młodzieńca.
— Jedziemy do mojej wsi — zaproponował mi nagle agent ubezpieczeniowy. Siadamy do „Łady" i jedziemy. Dziadek tam czeka. Zagramy z dziadkiem w nogę. Chcesz?
— W nogę? Znaczy się, w piłkę nożną? Jestem cała przemoknięta.

Muszę iść do domu. Pan, panie Siliwonie, zdaje się, wypił za dużo. Dobrze się pije, gdy pada...
— Też muszę iść do domu. Pij herbatę... Zrzucimy buty, spodnie, skoczymy na Wygon... Dziadek Anop tym razem nie będzie się złościł, że gramy w butach, gdy on gra na bosaka. Albo krzyknie: „Ej, wy, miejscy gówniarze! Ja w waszym wieku owieczki po pastwisku ganiałem! Dokopać wam?”. Nasz dziadek strasznie „kosi”, oszukuje. Nie uznaje żadnych zasad! Fauluje!
Siliwon zamilkł. Panna Agnieszka postawiła przed nim kolejny kieliszek „Absolutu”.
— A pański brat... Jarosław? To wasz dziadek Anop was obu „kosił” na wygonie?
— Sad, wygon... Nie... Zapomniałem... Dwa tygodnie temu jechałem do dziadka, przywiozłem mu trumnę z Sokółki... Zapomniałem, że dla niego wiozłem. Wskoczyłem do kuchni, wołam: „Dziadku, chodź!”. Wszyscy na mnie, jak na wariata. Dokąd iść? Dziadek Anop w dużym pokoju na ławie leży, wyciągnął się cały. Garnitur na nim nowy, nie noszony. Lakierki. Gdzie tu iść!
Siliwon jednym tchem łyknął setkę wódki. Parę kropli spłynęło po brodzie. Zakrztusił się, zakaszlał. Wszyscy patrzyli na nas.
— Dokąd iść!
Nie na nas, patrzyli na niego, na jego mokrą twarz. Siliwon mówił po swojemu. Po prostu. Błysnęły okulary znanego polityka przy prawym stoliku. Siliwon zakrztusił się po raz kolejny, zakaszlał się i wybiegł na deszcz.
— Jeszcze tu wróci! — rzuciłam kelnerce, zaniepokojonej, jak mi się zdawało.
— Wiemy, że wróci! — panna Agnieszka potrząsnęła utlenionymi lokami.
Do mojego stolika dosiadł się rudy malarz. W rudej włochatej dłoni trzymał maleńką szklaneczkę z popularnym „gorącym psem”. Artur wpatrywał się w moją twarz, mokrą od łez.
— Twój malarz — twój lekarz, moje ty lustereczko.

Tłumaczyła Natalia Gierasimiuk

Stos Samabusia

Gabruś Samabuś postanowił zerwać z literaturą. Odejść godnie i we właściwym momencie. Krytycy poparli go, klaszcząc w dłonie: — Brawo! Napisano o nim dosłownie wszystko, co było do napisania, lecz w niczym to nie zwiększało honorariów za jego opusy. Być może nie tak znowu mało płacono mu za twórczość, ale, w końcu, warsztat wyczerpywał się jak gdyby. Czasami przychodziło mu na myśl to, że jest zbyt genialny dla szeregowych krytyków literackich, którzy wszak nie poznali się w dostatecznym stopniu na jego ogromnym utalentowaniu. Ot, plotą trzy po trzy w ramach studiowanej filologii. Przy czym, kto to czyta? Co dzisiaj ludzie czytają? Nawet w okienko telewizora nie chcą spojrzeć, gdy kołaczą się w nim „gadające głowy".
Zdecydował więc skończyć z literaturą raz na zawsze. Rozwalił swą bibliotekę domową (niektóre książki były w twardej oprawie). Ale co miał zrobić z taką kupą papierzysk? Pieca w mieszkaniu nie miał — centralne ogrzewanie i gaz. Powiadają: rękopisy nie płoną. Nieprawda! Owa kupa makulatury płonęłaby, niczym słomiana strzecha. Papier drzewny, klej łatwopalny, zwłaszcza w jubileuszowych wydaniach, tom w tom w płóciennej oprawie. Cóż więc trzeba dla wzniecenia ogniska?! — wściekle rozmyślał Gabruś Samabuś.
Zastanowił się przez chwilę: spalić czy odwieźć do składnicy odpadków użytkowych. Ile płacą za makulaturę? Grosze! Nie wystarczy na transport.
Rytualnie zapalił Gabruś świeczkę gromniczną, która odnalazł za ikoną; ustawił ja na okrągłym stoliku pośród tego papierowego bałaganu w tumanach kurzu, przygotował sobie mocnej herbaty z solidną dawką cukru. Usiadł na poplamionej kanapie, na której zdarzały mu się słodkie męki z leciwymi kobieciskami. Zamyślił się nad losem literatury.
Zerkały w stronę Samabusia złocone litery na grzbietach zwalonych na podłogę ksiąg. Imiona i nazwiska autorów, tytuły woluminów.

Niektóre leżały jakby okrakiem, niczym próbujący stanąć na nogi pijak. Z poszczególnych kartek stronic sypał się dawno nie ruszany kurz. Roznosił się zastarzały zapach zapuszczonych bibliotek, zwłaszcza dupiastych bibliotekarek. Przypominało to jakowyś oddech książkowych ośrodków kultury, mało komu potrzebnych, stąd ich zaniedbanie. Bo i po co człowiekowi kultura? Na chleb nie posmarujesz jej. Czyżby to była prawda?! Wzruszył się Gabruś. Poeta był bliski płaczu.

Dawno nie płakał. Tym bardziej na oczach ludzi. A te cholerne księgi przywołują pamięć o własnych krzywdach w życiu. Szczególnie wybałuszają się litery „O" i krzesełkowate „h". Gabrusiowi zrobiło się niewysłowienie przykro, smutno. Precz z mych oczu! — pomstował. Nigdy-przenigdy nie będę czytać. No, czego się wyślepiacie na mnie! Wtem niemo odezwały się zadrukowane kartki: „Spalisz. Spalisz! No to pal! Tylko rękopisy nie płoną. A gdzie są twoje rękopisy?"

Gabruś Samabuś, z zawodu archeolog, umyślił wzniecić stos z książek nie zwyczajnie i prosto, lecz z namaszczeniem jak u przodków, posługujących się krzesiwem. Przechował takie w szufladzie stołu, więc przystąpił do dzieła. Krzesząc iskry, skaleczył się w palec, ale to go tylko rozjuszyło. Na czoło wystąpił kroplisty pot. „Krwi i potu kosztuje literatura!" — wymamrotał bez sensu. Rzucił krzemienie w rozwarte okno, co szczęśliwie skończyło się tylko piskiem jakiegoś psiaka, wypuszczonego na podwórze blokowiska.

Umęczony nagle, siadł na podłogę, szeroko rozsunąwszy nogi, jakoś po babsku. Dziwnie nie chciało mu się zapalić papierosa albo choć łyknąć herbaty. Stękając, podniósł się z podłogi i namacał w ściennej szafie sprytnie ukrytą flaszkę; stała za trzydziestotomowym szeregiem utworów Włodzimierza Majakowskiego, akurat za grubachnym tomem z poemą „Obłok w spodniach", która ongiś przestudiował na wylot, zaintrygowany moskiewskim duchem.

Pić nie chciało się. Za nic nie chciało się! Ogarnęła go niezrozumiała niechęć do pociągnięcia z gwinta. Natomiast, jakoś mimowiednie, wylał zawartość butelczyny na stertę papierów. Kurczyły i zwijały się w płomieniach nazwiska pisarzy — Mieleża, Byrona, Puszkina, Mickiewicza, Hugo, Szewczenki, Rublewskiej, Adamowicza, Sysa, Bal-

monta, Adamczyka, Bryla. Błękitnym płomieniem zajął się Adam Hlobus. W płomiennych pąsach znaleźli się Klimkowicz z Achromienką. Sypnęły iskry z tomów Kanapielki, Kurtanicz, Silnowej. Znakomity Arłou wzbił się jak latawiec aż do sufitu. Humianiuk skwierczał w żarze klejonych grzbietów. Tank i Panczanka, częściowo Bryl gorzeli równo i spokojnie. Dymił Kandrat Krapiwa. Goethe ze Schillerem dawali czadu, aż dym walił na ulicę...

Ogień nie brał Biblii po białorusku.

Wkrótce zawyła straż pożarna.

— Ogień i woda to czyściec — wyrzekł osłupiały Gabruś.

Była awantura i protokół policyjny. Niedopalone książki wywieziono na miejskie wysypisko, mieszkanie zaś uprzątnęła oddana Gabrusiowi kochaneczka. Sam Gabruś Samabuś zmył się do matuli na wieś. Ściany i podłoga schły przez upalne lato; sąsiedzi przeklinali, na czym świat stoi! Tak się dokonało Gabrusiowe pożegnanie z literaturą.

Tłumaczył Sokrat Janowicz

Wiktor, Nikifor i Renia

Nikifor już dawno nie śpiewał. Leciwy, z przerzedzonymi piórami, był, jak gdyby, na rencie u babci Reni. Utrzymywała go tak jak i kundla, który i starzejąc się wyglądał na szczenię — kłapouchy, zadziorny „wielorasowiec" z pierzastym, bujnym ogonem, jakby doczepionym do drobnego tułowia na krótkich jamnikowatych nóżkach. I przywiązała się do obu, tak jak tylko samotni ludzie potrafią przywiązać się do zwierząt. Nikifor i Wiktor byli jej rodziną , przyjaciółmi. Wiktor wyciągał babcię Renię na spacer rano i wieczorem. Gdyby nie on całkiem by się zasiedziała przed telewizorem albo w kościele.

Wiktor zuchwale, choć jakby z zadyszką, od czasu do czasu poszczekiwał — pilnował, żeby nikt nie skrzywdził gospodyni i żeby nikt obcy nie wszedł do domu. A Nikifor milcząc dziobał kanar, siedział w klatce, zdawało by się, całkiem obojętnie.

Oniemiał Wiktor, ujrzawszy na podłodze Nikifora. Zaskoczony przysiadł i zaskowyczał. Nikifor zaś nastroszył wyblakłe żółte pióra, podskoczył wojowniczo do psa, nadął się i przeraźliwie zaskrzeczał. A później z jego wyschniętego ze strachu dziobka popłynęła pieśń — pochwała wolności, odwagi, życia. Wiktor to pojął i spoglądając na otwartą klatkę starego kanarka, zawył razem z ptaszkiem rozpaczliwie, żałośnie.

Uczestniczył Wiktor w pogrzebie starego Nikifora. Z salwą honorową — trzaskiem zapalniczki babci Reni, gdy pod koniec smutnej ceremonii przypaliła papierosa, przykucnąwszy nad malutką mogiłą kanarka w łysym lasku za blokowiskiem. Włożyła martwego ptaszka do pudełka po dziecięcych bucikach, które znalazła w śmietniku za supermarketem, w kawałek jedwabiu w maki, z którego w młodości uszyła sobie sukienkę, owinęła chude wiotkie ciałko, wypłowiałe jak piasek. I osypała nieboszczyka płatkami georginii, kwitnącej w ogródku przed blokiem.

Obok mogiłki przechodzili codziennie, wyprowadzając siebie nawza-

jem na spacer, babcia Renia i piesek. A czasami Wiktor chodził sam. Kopczyk był już zadeptany, ale on swoim wrażliwym węchem wyczuwał, gdzie leży Nikifor. Widział go w swej krótkiej pamięci, skrzeczącego na podłodze, nie przymierzając, jak te wrony na śmietniku. Nie wypadało psu rozgrzebywać mogiłki, ale jakoś do tego doszło. Gnany instynktem myśliwskich przodków rozkopał Wiktor to miejsce. Ale czemuś nie było tam Nikifora... Nawet pudełka, w którym go pochowano.

Od okropnego odoru benzyny, smaru i brudu Wiktor aż się zatoczył i pobiegł do domu. Tym razem chętnie wlazł do wanny, gdzie go wyszorowała i wymyła szarym mydłem babcia Renia. Jeszcze i sam skrobał się łapą, drapał po grzbiecie, wycierał się w dywan. Chciał jeszcze wleźć do wanny, do gospodyni, która teraz pluskała się tam, myjąc swoje chude, żylaste ciało, po szyję w pianie.

Ta piana, ostro pachnąca różą, najbardziej zohydziła psa — umoczył tylko łapę, otrząsnął i poszedł do swego kosza. We śnie prężyły mu się łapy, stroszyły czujnie uszy, drgała skóra na całym ciele — śnił o polowaniu. Nie na wydeptanym podwórku przed blokiem, a wśród zarośli, które ocierały się listowiem o jego grzbiet, w chłodnym cieniu drzew. Łapy niosły go niby w locie nad sprężystą ziemią. A wokół latały żółte Nikifory i śpiewały o wolności.

Tłumaczyła Maria Bołtromiuk

Śmierć i Olga

Padał ciepły deszcz, świąteczny i jasny. Olga szykowała się do śmierci. W jej domku na „czworakach” panowała gwarna cisza. Ale czy cicho tutaj kiedy bywało? Do puszczy — ręką podać, a pomiędzy chatami, które niebawem pójdą pod siekierę, bo „bloki” tu będą stawiali, i strojnym czystym lasem z cmentarzem na skraju — biegnie szosa, po której dzisiaj suną wolniej samochody z turystami. A przy każdym drewnianym domku, solidnie wykonanym z „fabrycznych” desek pysznią się ogrody. Czego tu ludzie nie sieją! Nad grządkami ogórków, pomidorów, kapusty, kabaczków, bujnymi kwiatami maków — wysokie parasole kopru, który, ogrzany słońcem i przepłukany deszczem, wraz z zapachem liści porzeczki, ogórecznika i kwiecia szczelnie wypełniał ten zakątek fabrycznego miasta i przez otwarte okno wciskał się do pokoju Olgi.
Oldze z całego życia tylko dobry węch pozostał. Przymyka wyschnięte oczy, wciąga w nozdrza zapach spokojnego, niedzielnego deszczu, który w swojej mokrości i delikatności wszędzie taki sam — łaskawy, pieszczotliwy, czysty. Piękny. A oczy Olgi wraz z jej kiedyśniejszą krasą wyblakły na Syberii, w partyzantce, w pracowitych zwyczajnych dniach w Puszczy Białowieskiej, w polu, w fabryce, na nocnych wartach pod fabryką, przy dzieciach. Mężów dwóch pochowała. Nażyła się, natrudziła.
Kiedyś Olga była piękna! Nie jeden oficer jej to mówił, nie jeden nauczyciel czy partyjniak. Żeby za którego z nich wydała się, to by panią była, w życiu biedy nie zaznałaby. Na fotografię spojrzysz — tylko do filmu! Mężów zbyt dobrych, to Olga nie miała. I gdzie teraz dobrego męża szukać! Wyjdziesz za przystojnego — nie upilnujesz. A jeśli sama jesteś śliczna — to zaraz przyłoży do ciebie kogo tylko zechce. I za to chyba bili Olgę mężowie, że piękna, i za wszystko ją bili. Za to, że dobra. Bo dobroci jej, szczerości nie zauważali. Niczego w świecie nie widzieli za robotą i gorzałką.

Rozłożyła Olga karty na stole. Usiadła obok trumny, żeby lepiej widzieć: postawiła ją pośrodku pokoju, obstawiła doniczkami, bukietami kwiatów w słoikach. Na krześle powiesiła sukienkę, którą sobie kupiła na śmierć, pończochy, chustkę; pod krzesłami — równiutko błyszczały pantofelki. Trochę ciasnawe — od czasu jak je kupiła w „Stodole" — nogi Olgi zaczęły mocno puchnąć. Ale nosić jeszcze można i gdzie ona tam, na tamtym świecie, chodzić będzie; aby z fasonem tam trafić... Cha, cha, cha, uśmiecha się do siebie stara.

Odłożyła na chwilę karty. Podeszła do krzesła, wzięła w dłonie pantofle i chuchnęła na błyszczącą skórę. Pantofle były trochę przyciasne, piętki trzeba było nawet wciskać łyżką. Włożyła na siebie sukienkę, zsuwając spódnicę dołem. Przeszła się po odświętnie wysprzątanym pokoju, zajrzała do kuchni, gdzie na stole pod celofanem leżały pierogi i bochenek chleba na białym obrusie. Otworzyła lodówkę — za całą emeryturę nakupowała wędlin, kiełbas, wódki i wina dla kobiet. Wyciągnęła półlitrówkę, pogłaskała ręką chłodną butelczynę, która szybko pokryła się rosą. Olga wzdrygnęła się, dreszcz obleciał ją po plecach — czyżby to już śmierć idzie w gości?.. Wypiją ludzie dobrej gorzałki na stypie, nie jakiegoś „Royalu", powspominają dobrym słowem...

Olga, kiedy jeszcze mogła chodzić, odprowadzała na wieczny spoczynek wszystkich umarłych. Tych, których znała i nie znała, opłakiwała, żałowała ich życia, ale bardziej traktowała to jako rozstanie; przychodzili do niej w śnie, młodzi i piękni, i rozkładała im talię kart, tak jak kiedyś bywało. A kładły się im nie trefle, i nie piki, a żywe czerwone karo, a najwięcej kierów — serc, zwiastujących miłość, łaskawość, szczęście... Jakoś Oldze nie było straszno iść tam, do nich, na spotkanie z nieznanym.

Pantofle trochę rozeszły się. Olga nie rozbierając się usiadła przy stole. Rozrzuciła talię kart. Karty układały się lekko, posłusznie, jakby dopiero co były kupione w sklepie, błyszczące — zupełnie nie takie, z których przepowiadała niegdyś przyszłość ludziom z okolic Hajnówki. Prawdę mówiła pannom! *Ty za niego nie wyjdziesz za mąż, nie-nie! Wyjdziesz za bruneta*. Panna była z narzeczonym, było trzy tygodnie do ślubu, omal oczu nie wydrapała upartej wróżbitce.

Pół roku później przyjechała z kwiatami, przepraszała — wszystko stało się tak, jak przepowiedziała stara. A Olga, prawdę mówiąc, wtedy w karty nie zaglądała.
Zaświeciło słoneczko, rzucając na trumnę wiązkę promieni. Olga równiutko złożyła karty w talię.
Podstawiła, żeby było wygodniej, stołeczek i wdrapała się do trumny. Trumna mocno opierała się na taboretach. Olga poprawiła sukienkę na kolanach, podbiła wygodnie poduszeczkę, zapaliła świecę i wymościła się niby w kołysce. Splotła ręce na piersiach. „Ciekawe, jak to wygląda z boku?” — pomyślała. Było tak jak należy, z honorem, porządnie, po ludzku. Żeby wszystko było dobrze. Pomodliła się i zasnęła, ukołysana cichym poszumem dalekiego, chociaż bliskiego, miasta.
W ten dzień Olga nie umarła, chociaż godzinę później sąsiadka Hanna z krzykiem poniosła nowinę do „czworaków” i wszystkich sąsiednich bloków. Odeszła na zawsze tydzień później i pożegnali ją obcy ludzie, wedle jej scenariusza, na tamtą, lepszą stronę świata.

Tłumaczyła Eugenia Połocka

Noc w Bielsku

Wnuk Marysi, osiemnastoletni Juraś, zabił Handzinego prosiaka jakoś pod wiosnę. Walnął obuchem w łeb, oszołomił, zakłuł fachowo, pchnąwszy szwajkę-kolec wprost w aortę. Świnka krzyknęła, potknęła się i chlusnęła krwią. A potem jeszcze, popatrzcie tylko, wbiegła aż na piętro willi Handzinych krewniaków, z rozpaczliwym jękiem wspinała się po schodach, szorowała miękkim brzuchem po marmurowych stopniach, aż wbiła się suchym, gorącym ryjkiem w podołek gospodyni.

Nie zdołała uciec Handzia przed świńską śmiercią na pokoje.

...Przyjechała onegdaj ze wsi do Bielska razem z malutkim prosięciem. Położyła go w letniej kuchni swej siostry Marysi. Z mocno zawiązanego lnianego worka rozległ się jęk i worek popełzł po śliskiej, pokrytej płytkami podłodze.

— Handziu, a cóżeś ty przywlokła? Nie ma miejsca tu dla świń! Jeśli chcesz, to sobie hoduj w swojej Malinówce. Wiesz, że Mirek może nas za karę odesłać z powrotem na wieś? Tutaj jest pański dom, a nie jakiś tam chlew!

Handzia położyła sobie na kolanach podrygujący worek, poprawiła się na zydelku, rozpięła pierwsze guziki stwardniałej od mrozu ortalionowej kurtki, wyciągnęła z kieszeni pomiętą męską chusteczkę, z szumem wytarła obolały nos. Osłabiła nieco sznurek worka, żeby prosięciu lżej było oddychać, z czułością wsunęła dłoń do środka.

— No, opowiadaj co i jak — starsza siostra Handzi strzepnęła z ceraty na stole okruszki, do kubka nasypała herbaty, w kontakt wepchnęła małą podróżną grzałkę.

Handzia czuła głód, podjadłaby przynajmniej jakiejś zupy. Był listopadowy wczesny wieczór, a przecie jechała ze wsi — dobry kawał autobusem, potem kilka przystanków pociągiem. Uciekła z własnej chaty, od swego ślubnego, Pawła. Gdzież miała jechać, jak nie do siostry?!

Marysia od wielu lat mieszkała u syna w Bielsku, a trzy latka będzie,

jak przeprowadzili się do nowiutkiej willi. Pomagała w prowadzeniu domu, właśnie niańczyła prawnuków. Na zdrowie nie narzekała, choć starsza była od Handzi o piętnaście lat. Co prawda, mieszkała teraz w letniej kuchni, ale zapewniała, że z wyboru, bo nie miała sił wspinać się na piętra. Starała się w miarę sił we wszystkim pomagać, ale w praktyce żyła za swoje oszczędności. Choć emerytura była nieduża, mogła nawet coś jeszcze kupić wnukom i prawnukom. Nawet na budowę nowego domu swych pieniędzy dołożyła, i na kupno auta także... Spoglądała teraz na siostrę, Handzię, z prosięciem na kolanach, swymi wyblakłymi, ale wciąż żywymi oczyma. Handzi minęło sześćdziesiąt latek, ale kto by pomyślał, że to Marysia, kiedyś ją niańczyła, że właśnie Marysia dała życie pół tuzinowi dzieci, wychowała, wyhodowała, i w świat wyprawiła. I wnuków podhodowała i na ludzi wyprowadziła, i prababką już jest... Starannie podstrzyżona, w czystym fartuszku na zgrabnej figurze, w ciepłych, obszytych puchem kapciach pochyliła się nad siostrą, ubraną w wyszmelcowany płaszczyk, z prosięciem, niby dziecięciem, jakiego nigdy nie miała, na rękach. Ni dzieci, ni męża, którego wreszcie porzuciła gdzieś, hen, w puszczańskim chutorze...

— Siedź, siedź, zaraz twego prosiaka wpuścimy do szopy, nie zamarznie, nie bój się! Przenocujesz tu u mnie. Nie myślisz chyba, żeby na starość powędrować w świat? Nie na twoje latka, Handziu! A pomyślałaś, co ludzie na to powiedzą? Że to grzech? A jak sobie sam da radę twój Paweł? Przecież bez baby zginie! Pomyślałaś?

Prosiak poruszył się, uderzył boleśnie raciczkami w Handziną pierś. Rzuciła go na podłogę. Zajęczał, przesunął się w stronę przedpiecka, tam dopiero zacichł.

— Pomyślałam, Marysiu... Chociaż ty jedna mnie nie wyrzucaj. Cóż, w ostateczności pójdę do obcych ludzi, może kto przyjmie. Będę dzieci niańczyć, myć, gotować... Mogę opiekować się kimś starszym...

— Ty na siebie, Handziu, popatrz, niedługo tobie samej trza będzie wody podawać! A twój chłop? Czy ten Paweł naprawdę taki już zły? A kto na wioskach wódki dziś nie pije? Cóż robić? Może u niego wszystko stąd poszło, że dzieci swoich nie macie? Gospodarki nie ma komu przekazać...

— Nawet jeśli dzieci są, któż dziś chce tę gospodarkę brać. Wszyscy tam, Marysiu, giniemy.
Marysia zalała wrzątkiem herbatę, z szafeczki wyjęła kupiony w sklepie placek.
— Weź, Handziu, póki co sobie podjedz. Mirkowych nigdy nie ma w domu, a dziś też pojechali na jakieś wesele. dlatego nic sobie nie nagotowałam. A prosiaka wyniesiemy, nie zamarznie, a to zaraz mu się na dwór zechce...
— Nie, tutaj mu będzie lepiej. Wasze psy są takie złe, jeszcze mu co zrobią, pogryzą... Albo jeszcze kto go ukradnie...
Przenocowały na leżance za piecem. W nocy Marysia wychodziła, żeby podrzucić węgla do pieca centralnego ogrzewania. Tutaj, w letniej kuchni ścianka długo zatrzymywała ciepło, Handzia dobrze nagrzała sobie plecy. Prosię pojękiwało w sieni, brzęczało wiadrami, stukało w ścianę. Trzy psy, jakie Marysia spuściła z łańcuchów, biegały po podwórzu i ogrodzie, bezustannie szczekały, darły ziemię pod drzwiami, pewno wywąchały zdobycz. Sapały ciężko pod progiem, skrobały, a wtedy świnka kwiczała z przestrachu i biegła ukryć się w innym kącie, przewracając cebry.
Marysia poprawiła się na leżance. Nie spała.
— Wiesz, a moim już ciasno zrobiło się w willi — powiedziała z wysiłkiem. — Wnuki im już powyrastały, każdy potrzebuje własnego pokoju. Juraś już się buduje... A mnie tu nawet lepiej, przywykłam do życia na dole ... Mają, wiesz, swoją służącą, która im sprząta, gotuje. Nie muszę już po piętrach się wspinać... A tutaj ogród piękny i psy dobre, choć ostre, lubią mnie. To i żyje się bezpiecznie. Ja ich przecie tak samo od szczeniaków hodowałam...
— Marysiu, a jak długo już w Bielsku mieszkasz?
— O, już będzie dwadzieścia lat, jak nie stało mego Nikity, a wciąż mi się zdaje, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Handziu, nie zostawiaj ty swego Pawła. Tak ciężko samemu na świecie żyć...
— Nie, nie. Muszę u ciebie zostać, jeśli nic nie masz przeciwko temu.
— I jeśli nic naprzeciw moi nie powiedzą.
Rodzina Marysi nie miała nic przeciwko. Przynajmniej nikt nic nie

powiedział. Poza tym Handzia miała własne pieniądze. I na podwórku nie przeszkadzała, i nie prosiła się na pokoje.

* * *

A po dwóch latach, kiedy Marysię wyprowadzono na miejski cmentarz w sosnowej trumnie (pieniądze na nią trzymała schowane w czarnym węzełku za ikoną, razem z szarą gromnicą jeszcze ze swego panieńskiego wianka), Handzia zamieszkała w chacie sama. Prosiak rósł nad podziw piękny, gładki. Wypuszczała go Handzia, żeby sobie pobiegał po ogrodzie razem z psami... i kiedy gospodarzy nie było w domu. Przeciwko świni także nic nie mieli.
Zabił Handziną świnkę tuż przed Wielkanocą najmłodszy wnuk Marysi. Nie chciała Handzia jeść tego mięsa, choć przyszło jej się kiełbasy robić. Nocą kręciła korbką maszynki do mięsa, płakała, a pod drzwiami sapali niecierpliwie Reks, Azor i Tarzan.

Tłumaczył Jerzy Plutowicz

Człowiecze słowa

Burek był niegdyś psiskiem ładnym, połyskującym, krągłym. Ale, wiadomo, starość nie radość, chociaż, mawiają ludzie, widywano istoty „pogodnej jesieni", a przynajmniej tak nazywane. Zupełnie jak i z jego gospodarzem Anisą. Zdawałoby się, że stary, wyliniały, a jednak wszystkie wdowice z czterech okolicznych wiosek, ze dwa tuziny, za Anisą się oglądają i wzdychają na osobności: chociaż mieszka samotnie (z Burkiem), ale i synowie go odwiedzają, i choć traci czucie w nodze, radzi sobie w domu, nawet trzyma kury, indyki, świniaka, krówkę, a za gospodarkę i pracę w milicji otrzymuje emeryturę. Człapie sobie spokojnie po świecie, zbytnio nie narzeka, o litość nie prosi.
Jedynym, co w nienaruszonym stanie u Anisy i Burka pozostało z młodych lat, to węch. Nos, wielgachny i mięsisty, u Anisy wrażliwy na smaczne jedzenie. Dobrze karmi siebie stary, na to nie żałuje, bo dosyć zaciskał pasa w głodnym i bosym dzieciństwie i młodości bez ojca. I Burkowi nie żałuje ciepłej zawiesistej zupy, solidnych kości, okraszonej kaszy. Na kolonii pokpiwają, że chociaż Burek je nie mniej od świni, ale swoimi żebrami chluby gospodarzowi nie przynosi. Nie głodzi siebie i psa troskliwy gospodarz, ale sam wygląda jak kościotrup i kundel jego jak szczapa.
Wygramoli się Burek z budki, otrząśnie swoje cielsko, kłapnie zębami po swych bokach, podrapie tylnym łapskiem za uchem, podniesie nogę dla ulżenia, potoczy podślepiałym okiem po obejściu i zanurzy się w morzu zapachów. Oto tchnie ciepłem obornik z Frosinego chlewika, to od pstrej kury wionie zapach czystego pierza i ubrudzonego jajka, to w Burka nos zawita ziąb od brzóz na pagórku... Gorące ziemniaczane obierki potłuczone z ospą, dobrotliwy krowi pot wymieszany z mlekiem i sianem. Zleżały tytoń gospodarza i piekący dym, od którego Burkowi przewracają się wnętrzności i mdły zapach gumofilców koło samego Burkowego nosa. Zmarznięty chleb, ziarenka kaszy na gnacie...

Dziadek Anisa dzisiaj pachniał jedliną i smołą. Od szopki donosiło się pokasływanie — suchy kaszel z przeżartych tytoniem oskrzeli — i uderzenia siekiery, — stary rąbał drwa. Burek nerwowo zakotłował się na świeżym sianie w budce, najpierw chciał najwygodniej zwinąć się w kłębek, to znów wyłaził na chłód, łomotał łańcuchem, włóczył go po śniegu, przestępował z łapy na łapę, przewracał miskę. Blaszanka pobrzękiwała to denkiem, to brzegami o twardy zdeptany brudny śnieg. Nie, Burek nie był głodny i nic mu nie dolegało. Prawda, korciło troszkę pobiegać po lesie, obwąchać znajome zakątki; ostatnio dziadek Anisa bał się spuszczać psa z uwięzi nawet nocą — leśniczy Dawidowicz strzelał jak szalony do „dzikich" kotów i psów, które oddaliły się o sto metrów od zabudowań. Sto metrów od ich obejścia był las: najperw gęsty młodnik, dalej bór gęsto podszyty młodym liściastym gajem i krzakami, potem zaczynała się puszcza. Tam, bywało, w młodości, zerwawszy się biegał Burek ze zgrają polować na zające. Już na starość ściągał obrożę z otartej łysej szyi, biegł dokąd oczy niosły, słuchając gwizdania wiatru w uszach, prężąc co sił łapy, a teraz nawet i biegać się nie chciało. Słabnące już łapska łamał reumatyzm, zwłaszcza drętwiało tylne prawe, od pięty po zad — leśniczy poczęstował go garścią śrutu... Nie mógł opanować się dzisiaj Burek, spoglądał to na dym, który ciemną wstęgą unosił się z komina, to na starego, który niezbornie stąpał po podwórku.

Stary podszedł do budki, wsadził krótki toporek pod kufajkę, rozpiął obrożę na Burka szyi.

— No, poganiaj sobie. Niechże i dla ciebie będzie święto. Nie bój się leśniczego, zresztą innej śmierci nikt jeszcze nie doczekał. Idziemy po jedlinę. I mnie za to nie powieszą. Nawet jak ukarzą, to nie będzie czego od nas zabrać.

Burek to zabiegał od przodu, to pętał się wokół starego, tarzał się w śniegu jak szczenię, wzbijając wachlarz sypkiego pyłu. Raptem znikł.

Zbliżali się do szosy, po której niedawno przejechał autobus (nawet Anisa poczuł w nozdrzach daleki zapach benzyny). Na drodze, przysypanej pokruszonymi kołami kawałkami śniegu, nikogo nie było. Anisa zszedł z nasypu za przystankiem, wsunął się w malinową gęstwinę,

przerośniętą wiotkimi brzózkami, ale pies pozostał na szosie, zakręcił się wokół budy przystanku. Zaskowytał, jakby wyczuwając zwierza. Anisa pobrnął dalej w las. Pies zsunął się z nasypu, przedarł się przez maliniak, uchwycił gospodarza za lamowaną cholewę buta.
— A ty czego! — szarpnął ku sobie nogę Anisa. — Coś tam znalazł? Wynoś się precz!
Ale pies nie odstępował, warczał zjeżony i rozeźlony, że gospodarz nie domyśla się w czym sprawa. Odbiegł, zaskomlał piskliwie jak szczenię, wrócił, szczeknął basem. Anisa zawrócił.
Pod ławką na przystanku stał długi wiklinowy kosz z kraciastym kocem pod sam pałąk. Z koszyka dobiegał cieniutki, jak u komara, pisk. Pies już pochwycił rąbek koca, niecierpliwie wsunął podeń pysk. Stary zziębniętymi rękami rozwinął znalezioną rzecz. Spojrzały stamtąd nań ciemnoniebieskie, spuchnięte od płaczu oczęta.
— Ojej! Masz ci tu, tego... Cholera, k... a nie matka ciebie tutaj zostawiła, oj, dzieciaczku ty, sierotko... — stary chwytał się za piersi.
Do wsi pierwszy wbiegł Burek wieszcząc nowinę psom i ludziom. Za nim, potykając się niemal na każdym kroku, wlókł się stary Anisa, dźwigając ciężkie brzemię to na boku, to przed sobą. Niósł znalezione do sołtysa, do Sergiusza Borowskiego, jedynego młodego gospodarza (dlatego i obranego sołtysem przez demokratyczną większość emerytów), w którego domu był telefon.
Zbiegły się baby. Dziecko jeszcze nie oziębło, zawinięte w kaftaniki, sweterki i trzy pary śpioszków z pampersową pieluchą. Solidnie i ładnie był ubrany maluch, z posagiem — trzy zagraniczne pieluchy, dwie butelki z mlekiem. Stara Julisiowa umiejętnie odkleiwszy pieluchę stwierdziła, że niespodziewany gość jest kawalerem. Rozległy się achy i ochy, westchnienia, cmokania staruszek — dawno nie widziały niemowlęcia w swojej wsi, zdaje się niedawno jeszcze tak ludnej. Zanim przyjechał lekarz i policjanci w pokoju zrobiło się cieplej od tych ochów i achów. Burek również uczestniczył w ogólnym zachwycie i cudzie, pętał się pod nogami, stawał na tylne łapy aby ujrzeć dziwo.
— A precz ty, bydlaku! — trzepnęła go po nosie stara Nastka, zalatująca czosnkiem, ciastem chlebowym i owczą wełną. — Kto ciebie tu zaprosił, zarazo!

— Przecież to on znalazł maleństwo, — pogłaskał Burka po rozgorzałej łepetynie jego pan. — Zuch! Za to należy się medal!
Pokazała się pierwsza gwiazdka, gdy przed chatą zawarczały samochody. W chacie zrobiło się jeszcze ciaśniej i Burek przysunął swoje sterane stare ciało bliżej pieca. Ogarniała go drzemka, ziewanie, opadała szczęka, opadały powieki. Pachniało dobrocią, drogocennością, pieszczotą. Ludzie dreptali, szeptali, krzyczeli, wypytywali, maleństwo gugało, a sen obejmował psa jak gęsty las. Ale przypomniał: przecież dzisiaj Wigilia! W taki wieczór zwierzę może przemówić człowieczym głosem!
— Byście się trochę uciszyli! — odezwał się Burek od pieca.
Nikt tego albo nie usłyszał, albo nie zrozumiał. Tylko niemowlątko umilkło, wytrzeszczyło oczęta, zwróciło czerwoną twarzyczkę od bujającej go na swych wielkich piersiach baby Hanny Borowskiej w stronę starego psiska.
Ono po raz pierwszy zrozumiało człowiecze słowa.

Tłumaczył Aleksander Wierzbicki

Kobieta z chorą ręką

Adela wyciągnęła wiadro wody ze studni. Łańcuch dźwięcznie uderzał o obrośnięty mchem zrąb, skrzypiała rączka koła. Woda chlusnęła na gładki kamień przy studni, na wydeptane pepegi gospodyni i gęsty dywanik drobnej piekącej pokrzywy.
Adela powoli niosła wiadro do domu, kołysząc się na boki, brała szeroki rozmach lewą chorą ręką. Zatrzymała się obok krzywej jabłonki, zerwała trochę liści mięty i melisy, które rosły tu bujne, dorodne. Chlusnęła im pod korzenie trochę wody, bo ziemia mocno wyschła. Dlatego też wybujałe były u niej rośliny, którym nie żałowała swego starania.
Basia usiadła przy stole i spoglądała, jak Adela wyciąga z kuchennej szafki wielkie kubki z ręcznie malowanymi bukietami róż i chabrów, związanymi złotą wstążką. Brzęczały muchy, kłębiąc się pod białym sufitem, wpadały do oczu, lgnęły do pachnącej miodem taśmy muchołapki. Adela zdjęła z gwoździa gumową packę na drewnianym trzonku, uderzyła nią z rozmachem. Pac — i mucha rozpłynęła się plamką na kafelku pieca.
— Mówisz, że zbierasz imiona? — zaciekawiła się kobieta. — Po co tobie one? A, dla nauki... Taak... Należy zapisać, gdzie się co jest, aby później nie powiedzieli, że tu nas całkiem nie było. A niedługo zapewne i tak będzie... — Adela poprawiła chustkę pod brodą.
— To do pracy na uczelni. Kończę szkołę, robię dyplom. Zbieram tutejsze imiona i nazwiska, wyjaśniam ich pochodzenie.
— Ach, poszłabyś, dziecino, do gminy, u nich znajdują się papiery, spisałabyś, i już. Po co ci chodzić po wsiach? Jeszcze gdybyś choć miała swój samochód, to by lżej ci było. A więc zaraz zaparzę ci herbatę z miętą. A wiesz dlaczego ona *harbata*? Garbaty ją siał, garbaty zbierał i garbaty zaparzał... Garbaty wypije, bo każdego swój garb do ziemi kłoni...
Na podłodze w kuchni, na czystym ręczniku, rozłożonym na sianie, leżał wielki żółty pies. Wówczas, gdy wchodziły, leniwie podniósł głowę, poruszył uchem i sapnął.

— Orzeszko moja — pochyliła się Adela nad skręconym w kłębek ciałem psa. — Oj, ciężko ci, wiem o tym. Jak długo masz jeszcze czekać na śmierć? Kończy się twój wiek, dobrodziejko. A umrzeć nie możesz. Rzuca cię, męczy, a śmierć nie przychodzi.
Orzeszka zaskomlała, chciała polizać rękę gospodyni, ale jej głowa z zaropiałymi czerwonymi oczami zachybotała tylko i opadła na łapy. Od psa uniósł się przykry zgniły zapach.
Adela spod pieca wydostała łuczywo, parę drzazg z polan, zapaliła pod płytą. Nalała wody z wiadra do garnków i do czajnika, wzięła z półki mydło. Z kubka polały sobie wody na ręce, wytarły je czystym lnianym ręcznikiem. Staruszka nie odzywała się, starała się nie spoglądać na Orzeszkę, suczka wzdychała w kąciku.
— Basiu, a jak ty myślisz, czy pieskiej duszy nie należy się modlitwa pożegnalna? Przecież zwierzęta są niewinne, prawda? Oj, moja ty pokutnico... Ileż to już latek przeżyłyśmy razem.
Za oknem czerwieniły się jabłonie w promieniach zachodzącego słońca. Chybotliwe cienie zabiegały na szybach. Adela wrzuciła kostkę do wrzątku. Dała Basi scyzoryk do obierania ziemniaków. Dziewczyna ledwie zdążyła obrać trzy ziemniaki, a z wielkich węzłowatych spłaszczonych przy paznokciach palców Adeli wypłynęły wszystkie białe bulwy i utonęły w cebrzyku. Gospodyni milczała, od czasu do czasu poprawiała chustkę, pociągała nosem.
— Wspaniałe ziemniaki porosły w tym roku. Bo takie już duże młode, a co będzie podczas ich kopania! Ziemia rodzi ludowi, oby tylko było komu ją uprawiać...
W piecu huczało, strzelał ogień, czerwone odblaski biegały po polanach i podłodze. Adela wytarła ręce o fartuch.
— A czy masz ty papierosy? — zapytała zalewając wrzątkiem herbatę w kubku.
— Pani pali?
— Och, zapaliłabym. Mam gdzieś stare „Sporty" nieboszczyka Adama, ale już chyba zwietrzały, a tu jakoś tak głowa boli, czy to może ząb? Puszczę trochę dymu w usta, momentalnie ból minie.
Basia wydostała z plecaka dyktafon, paczkę „Marsów" i zapalniczkę.
— Ty oto na tym zapisujesz? Takie maleństwo, niby pudełko zapałek!

Pokaż, co ty tam już masz?
Basia pstryknęła włącznikiem.
— O, poznaję, przecież to mówi Konstanty z Łozowego. Dobrze żeś z nim porozmawiała. Stary on już i wie, co , gdzie i jak. A niebawem my tu wszyscy poumieramy i nikt już nie będzie nic wiedzieć. Wszystko tu zarośnie sosenkami i koniec. Dobrze, dziecino, że wam młodym jeszcze chce się tu chodzić, zbierać coś takiego. Choć jakiś ślad pozostanie. Ale kogo to będzie ciekawić? Możliwe, że dla muzeum to się przyda, i to wszystko. A my, jak wszyscy na świecie — nawozem będziemy. Ale zanim nas zjedzą robaki, zeżremy wszystko co żywe...
Raczyły się ziemniakami z koperkiem, zapijając je zsiadłym mlekiem z ogórecznikiem. Gospodyni wlała śmietany dla suczki, ale Orzeszka tylko ją powąchała i schowała głowę w łapy.
— Trzeba będzie zadzwonić do weterynarza, niech przyjedzie, da jej zastrzyk na lekką śmierć. Jutro rano zadzwonisz. Ileż to cierpieć zwierzęciu! Zadzwoń od razu z rana, pojedziesz chyba zapisywać? Przychodź znowu, nakarmię, zanocujesz.
Raptem coś ukłuło Adelę w chorą rękę. Masowała ją, przygryzając dolną wargę.
— Niech pani pozwoli, ja pomogę! — Basia ujęła w swe dłonie pokręcone palce gospodyni.
— Nie, nie trzeba, tobie na pewno nie przystoi brać do ręki taki pokręcony pogrzebacz. A miałam że ja rękę — po prostu złotą! Ale co zrobisz, czy to Bóg, czy też diabeł zesłał na mnie taką karę? Wszystko na świecie jest tak jak być powinno. Kara za minione, nawet za dziadów... Kładź się spać, dziecino, my tu jeszcze z Orzeszką trochę postękamy, zaparzę jej lekarstwo od bólu, oczy jej przemyję.
Następnego dnia, zaraz po śniadaniu Basia pobiegła na wieś. Ledwie słońce się podniosło, gdy powróciła.
— Zatelefonowałam od sołtysa do weterynarza, nie chce przyjechać! Mówi, że do psa nie przyjedzie, bo to drobnostka, a on ma ważniejsze sprawy.
— Jakże to tak — nie przyjedzie?! Biegnij jeszcze raz, dzwoń ! Jak to tak? Jak tak można?! — zdenerwowała się starowina na podwórku. — Bierz szybko rower, jedź, dzwoń!

Basia wyciągnęła z szopy stary, przedwojenny jeszcze rower z kierownicą niby baranie rogi, wykręconą naprzód i, skrzypiąc niesmarowanym łańcuchem, pomknęła nie siadając na siodełku, po zarośniętej murawą koleinie. Wracając prowadziła rower z oberwanym łańcuchem, brudna, zakurzona, ledwie wstrzymując łzy.
— Weterynarz odmawia, twierdzi, że do psa nie pojedzie. Krowy u Kuźnickich zachorowały, popadały w całej wsi, nie będzie się fatygował w błahych sprawach. Możecie przywieźć do mnie psa, mówi, może znajdę wolną chwilę. Wieczorem będzie miał gości.
— Jakże ją zawieziemy, czym? Czyż Mikołaj da swego fiata? Na pewno nie da — Adela nerwowo biegała po chacie, wymachując zdrową ręką. Usiadła, zaczęła nerwowo skubać fartuch. Brzęczały muchy. Basia złapała muchołapkę, grzmotnęła nią parę razy w ścianę.
— Nie stukaj, nie stukaj! Tu umierają, a ty stukasz. Zapal lepiej pod płytą, zaparzę lekarstwo mojej Orzeszce.
Gospodyni wdrapała się na strych. Po kilku chwilach wróciła z papierowymi torebkami pełnymi suchych traw. Długo je przebierała, wsypywała do stępki, tłukła, rozcierała, zanim nie zagotowała się woda. Z miedzianego garnuszka dochodził gorzki zapach. Adela w milczeniu mieszała wrzątek drewnianą łyżką, coś mruczała pod nosem, wycierała rękawem zaczerwienione powieki.
— Od bólu jej zaparzam, od strachu, od cierpienia, Basiu, jest to ziele.
— Na śmierć?
— Nie, nie umiem zaparzać na śmierć. Nie mam takiej trawy, aby szybko odprawić ją na tamten świat. Pozbędzie się bólu.
Długo studziła odcedzony napar, dmuchała, Orzeszka chętnie piła, podniósłszy się po raz ostatni na łapy. Adela płakała.
Basia wyszła do rozgrodzonego sadu, który poprzerastał już młodym sośniakiem. Wróciła, gdy Orzeszka już spała.
— Weź płachtę, wyniesiemy suczkę do sadu — szepnęła Adela. — Tam będzie jej lżej oddychać.
Suczka była cięższa niż Basia przypuszczała. Uchwyciwszy płachtę za rogi, dźwigały ją między jabłoniami w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Położyły swój ciężar pod brzózką. Orzeszka ledwie oddychała, z lekka tylko unosił się brzuch.

— Odejdź, dziecino, będę ją wieszać, nie patrz. Ona już nic nie odczuwa, odejdź! Przynieś szpadel, zakopiemy ją.
Na mogiłce wyrósł pagórek. Adela przyturlała kamień spod brzózki. Długo układała go, poprawiała.
— Ot i wszystko. Skończyło się życie. Nie wiadomo, kiedy przyjdzie kolej na mnie, czy znajdzie się ktoś, kto chociaż kamyk położy na mojej mogile.
W milczeniu wróciły do chaty. Gospodyni wyniosła pościel Orzeszki. Nalała wody do miednicy. Długo myły ręce, polewając je z kubka czystą wodą. Adela wyjęła z szafki nowy biały ręcznik.
— A więc tak. Nie żyje już nasza Orzeszka.
Ktoś zastukał w szybę.
— Adelo, chodź do Chrysty, nikt tak jak ty nie potrafi formować korowaj.
— Nie mogę, Marysiu. Jestem dzisiaj nieczystą. Moje ręce zmagały się ze śmiercią. Niech mi Chrysta wybaczy, ale mnie dzisiaj nie można.
— Adelo, patrz, to chyba do ciebie Wasilko pędzi na rowerze?
— Zapytaj, po co on jedzie.
— Mówi, że od weterynarza wiezie strzykawkę z lekarstwem.
— Widzisz, Basiu, pochowałyśmy już nieboszczkę, więc niech z powrotem wiezie tę szprycę. Albo nie, Marysiu, zawołaj Wasilka... Powiedz mu: podziękuj, sąsiedzie, Pańkowskiemu, że nie zapomniał o drobnostce.
Tej nocy Basia mocno spała, tylko w piersi coś piekło. Lekarze powiedzieli, że jej serce, chociaż młode, jest bardzo słabe.
Pożegnały się rankiem.
— Przyjadę do was, Adelu, przed obroną dyplomu, opowiem, co zebrałam po wsiach.
— Otóż chciałabym to usłyszeć. Zachodź, dziecino, gdy tylko będzie ci po drodze.

* * *

Świeciło blade słońce, którego promienie odbijały się od topniejącego śniegu. Pod jabłonką, z gałązek której spływała szarość i błyszczały wilgotnie, ciemniała plama mokrej ziemi i rudej trawy.

Furtka wisiała na drucie. Z otwartej do połowy bramy skośnie spełzał śnieg, pokryty gęsto śladami ptaków.
Dymu nie było nad kominem, chociaż nad chatami wsi pod lasem ciągnęły się szarobłękitne słupki, ludzie gotowali obiad.
W podwójnych oknach chaty Adeli szarzała wata, smętnie błyszczały choinkowe bombki. Za odsłoniętą firanką sterczał wyschnięty aloes.
Basia nacisnęła klamkę — lwią łapę. Drzwi się otworzyły.
W sieni stał zakurzony koszyk z poczerniałymi zwiędłymi ziemniaczanymi obierzynami. Na beczułce z kapustą, z której dochodził zdrowy, gorzkawy zapach, leżał czarny od wilgoci worek. Na gwoździu wisiał chałat z ubrudzonymi połami.
Basia zapukała. Cisza.
Drzwi głucho skrzypnęły. Dziewczyna przestąpiła próg. Na podłodze kuchni leżało rozsypane ziarno pszenicy. Naprzeciw wejścia ujrzała lusterko, zasłonięte wyszywanym ręcznikiem.
Obok płyty wisiał fartuch. Jego fałdy ułożyły się i zastygły pękato, niby chciały zachować trwały kształt ciała gospodyni. Pod nim stały gumowe buty z grudkami brudu spod chlewu, z których ulotnił się już zapach śniegu, rozdeptanego na słabym przedwiosennym słońcu, przemieszanego z końskim nawozem i drobnymi resztkami siana.
Łzy miały smak wody z sopli spod strzechy, gdy Basia, prawie oślepiona wiosennym słońcem szła w stronę ciemnego lasu, na stację kolejową.
Praca dyplomowa była już zakończona. Czekał nań jeszcze ostatni egzamin i droga w szeroki świat.

Tłumaczył Wiktor Szwed

Karolek

To nie żaden byk zderzył się z obojczykiem Sierżyka. Choć tak zapisano w protokole lekarskim. Należało bowiem sporządzić jakiś protokół z wypadku. Sąsiedzi poświadczyli. Żeby wypłacono ubezpieczenie, bo Sierżyk nie mógł tamtego lata pracować w gospodarstwie. A prawda była taka, że to starszy brat, Anton, pchnął w złości młodszego Putruka widłami. Tamten uskoczył przed widłami, ale potknął się i rąbnął ramieniem o sieczkarnię. Szczęście, że nie głową, bo w takim przypadku najpewniej pochowałby Anton swego młodszego braciszka. A brat w gospodarstwie był potrzebny. Bo Anton nie umiał sam wydoić krów. Choć umiał się obchodzić ze wszystkimi maszynami doczepionymi do traktora, był silny i miał pojęcie o wielu innych rzeczach, to dojenia krów nawet nie próbował. Nie szło mu — ani palcami za wymię, ani podłączyć rurki mechanicznej dojarki. A dzisiaj jedyny zysk z gospodarstwa, mały bo mały, ale z mleka właśnie.
W powiatowym szpitalu założyli na klatkę piersiową Sierżyka coś w rodzaju gorsetu. Tylko głowa mu wystawała z tego pancerza, kudłata, nie ogolona. A latem gorąc! Ze szpitala też na początku nie wypuszczali, trzymali aż dwa tygodnie zanim wyprawili na wieś w gipsowym przyodziewku. Jak tu wytrzymać! Ani się podrapać, ani się umyć! A do tego w okolicy pojawiła się masa panienek, agroturystek! Po prostu odpoczywających i ciekawych świata, roślinności i tutejszych ludzi. Ale jak tu taką zaprosić, gdy dom zapuszczony, starszy brat nie mył podłogi od Wielkiejnocy, a pościel aż porudziała od brudu. Co prawda, z praniem teraz było łatwo, to już nie czasy babci Tekli uwijającej się nad balią z kijanką i tarą. To nawet nie „Frania" z korbką do wyżymania upranych rzeczy stała w domu, ale prawdziwy automatyczny „Indesit", programowany, który wedle potrzeby mógł zagotować wodę w bębnie, wypłukać kilka razy i odwirować, można było wkładać uprane rzeczy od razu na siebie, były niemal zupełnie suche. Wystarczyło tylko wcisnąć guzik i popstrykać po prog-

ramach. Po prostu komputer. Kto by pomyślał — takie cudo techniki na wsi!
Sierżyk wyszedł posiedzieć na ławce przed swoim obejściem, pod lipą. Słońce prażyło, więc w cieniu pod drzewem było zdrowiej. Żeby jeszcze ten wietrzyk powiał trochę mocniej!
Lato! Wiosną przyjemniej, ale trzeba sadzić ziemniaki. Rzucać w bruzdę ziemniak po ziemniaku. Niektórzy, wiadoma rzecz, mieli sadzarki. Ale u nich ziemniaki trzeba było sadzić samemu. Resztę robiły maszyny. I środki ochrony roślin. Mogły zniszczyć zdrowie i stonkę ziemniaczaną za jednym zamachem. Jak również inne larwy i liścienie, czy jak to się nazywa. Dziadek Dymitr lepiej się na tym wyznawał. Już przed pół wiekiem walczył ze stonką i innym amerykańskim paskudztwem za pomocą chemii, dlatego też wśród ludzi zasłużył sobie na przydomek Stonka. I jego córki nazywano Stonkami, i młodych Putruków, synów starszej córki, Niurki, także wołano po dziadku, Stonkami. A teraz, diabli nadali, mogą zostać Karolkowymi. Przez tego karalucha, co go Sierżyk pod gipsem przywiózł z hajnowskiego szpitala, z tamtejszej chirurgii. Tam było czysto, nie można powiedzieć, ale wąsate bractwo lubi także czystość. Powiadają, że w ogólnym kataklizmie może wyginąć i ród człowieczy, i wszelkie stworzenie małe i duże, ale tych akurat drani nie weźmie ani mróz polarny, ani ogień piekielny, dlatego też mogą się ostać jako jedyni mieszkańcy naszej planety. A we wsi Wierzbówce ludzie ciągną popatrzeć jak na dziw na tego Karolka, co go Sierżyk przywiózł za pazuchą z powiatowego miasta. Dziadek Michał pamiętał podobne, jakie kiedyś płodziły się na wsiach, właśnie karaluchy i prusaki, ale tamte były bardziej czarne. Ale nie tak jak pluskwy — to śmierdzące świństwo kąsało jak cholera! Karaluchy zaś nie kąsały, ciała miały miękkie, tylko te ich wąsiska i bieganina napędzały ludziom strachu. Ale jeden nie taki przecież straszny. I uciekać też nie miał ochoty. Zaczął więc żyć u Putruków na kuchni w odwróconym słoiku. Bracia z pewnym żalem i współczuciem mawiali czasem o swoim nowym lokatorze:
— Biedulka, zupełnie jak my dwaj, żyje bo żyje, z głodu nie umrze, ale rozkoszy też nie zakosztuje, choć tak niewiele trzeba... Nie można się rozmnożyć. Skąd wziąć babę? Z Hajnówki jej nie przywieziesz.

Karaluszkę można by schwytać na siłę, co tam! Ale do nas kobiety nie ściągniesz ni siłą, ni pieszczotą. Człowiek chciałby przynajmniej się trochę zabawić, kiedy już nie idzie żyć.

— Trzeba mu przywieźć kompana — rozmyślał na głos Sierżyk. — Byłoby mu weselej mieszkać w słoiku, potomstwa mieć nie będą, bo inaczej zapaskudziliby całą wieś, byłoby zupełnie jak za sanacji...

— He? Z czym? — ocknął się dziadek Michał, któremu obwisła zżółknięta od tytoniu dolna warga z kropelką śliny. — Co ty, Sierżyk, wiesz o sanacji? Karaluchy wtenczas były, przed wojną, znaczy się, nie takie jak teraz! Ten wasz Karolek to czysty śmiech! A pluskwy!..

— A wy już po raz setny o tych swoich pluskwach! Nie żal wam Karolka? Gdybyśmy podhodowali z dziesięć samców, można by było urządzać wyścigi. Wiadoma rzecz, na początku trzeba by było je wytrenować, przyuczyć, żeby się nie rozłaziły... Na co się one łakomią... Karaluchy... Koniowi albo słoniowi w cyrku dają kostkę cukru... Karolkowi wystarczyłaby okruszyna...

— No, Sierżyk, prowadź mnie do waszego Karolka, pokaż, czego go nauczyliście. Czym go częstujesz, ze jest taki ułożony?

— Je wszystko, choć nie powiem, że dużo. Pije wodę.

— A gorzałę? Używa?

— Tej jednej nie rusza. Ale gdy się rozbawi, to nie odmawia... Chodźmy, tam chłopaki z Karolkiem balują. Akurat żeśmy zarżnęli cielaka...

Sierżyk ze stęknięciem dźwignął się z ławki i wspierając się o płot ruszył do letniej kuchni. Za nim kuśtykał dziadek Michał. Z otwartego okna murowanki postawionej z szarych pustaków dolatywał gwar basowych pohukiwań.

— Gdzie Karolek? — Sierżyk rzucił się do chwiejnego stołu. — Gdzie słoik?

— Zmarło się twojemu Karolkowi. Dopiero co go pochowaliśmy. A teraz sprawiamy stypę! — starszy Stonka podniósł szklankę.

— My wszyscy, kawalerowie z całej gminy, bardzo wam współczujemy z powodu zgonu Karolka! — płaczliwie wyrzekła kompania, chlapnęła rosyjskiej wódki i zagryzła gotowanym byczkiem.

Tłumaczył Jan Maksymiuk

Kalina

Kwitnie kalina pod mym oknem — zaśpiewało coś w duszy Antosia prawie jak z jakiejś prasłowiańskiej pieśni, jakby się to w genach odezwało. Mdły zapach kwiatów kaliny dotkliwie zakołysał jego duszą, i, co gorsze, ozwał się we wnętrznościach. Nie pasuje kalina do siwuchy pachnącej żytkiem, oj, nie pasuje. Brak między nimi harmonii. Z tego braku Antosiowi zrobiło się zupełnie niedobrze i, zwiesiwszy się z okiennej ramy, zbrukał ziemię miłą tym, co mu od wewnątrz dokuczało. A i szkoda tego dobrego, co wypił i zakąsił.
Zza krzaków wyszedł tymczasem niezadowolony Maksim. Maksim wstrząsnął z obrzydzeniem swoimi pasiastymi łapami, odwrócił się tyłem i niby od niechcenia, choć znacząco, drapnął z zamachu nogą, zasypując piaskiem wymieszanym z zielskiem to ohydztwo pod krzakiem kaliny.
Maksim dawno już stracił nadzieję, że u Antosia dostanie mu się mleko czy jakaś kostka. Krowa się zapuściła, kury dawno zjedzone. Nawet myszy i szczury opuściły ten chwiejny okręt. Ale co może zrobić kot — przyzwyczajasz się do miejsca, nie do ludzi. Zresztą — nawet do Antosia, nie tylko do jego gospodarstwa, przywykł pasiasty kot z białym krawatem pod szyją. Akuratny, dobrze wychowany kocur, postrach szczurów w całej gminie. Ale na darmo ta dobra kocia sława rozchodziła się po okolicy. I tak Maksima nazywali we wsi „kotem Antosia", a nawet rozeszło się w narodzie takie powiedzenie: „Odkarmił się, jak kot Antosia na gryce".
A tu nagle za węgłem chaty coś zaszumiało, zawyło, zaszurgotało na żwirówce. To autobus podjechał z miasteczka. A z jego śmierdzącego wnętrza wytoczył się człowiek w czapce i szarej koszuli. Był to zresztą nie kto inny, tylko Zbyszek Nasiadko w swoim nowym ubraniu, co to mu w białostockim teatrze uszyli. Oparł się Antoś o furtkę, spojrzał na gościa. Popatrzył i Zbyszek na Antosia.
— To ty jesteś tym małym-małym człowiekiem, jak u Szukszyna?

— pierwszy odezwał się Zbyszek.
— Czom mały? — poczochrał się po potylicy Antoś. — Nu, może i niewielki, ale wszystko co trzeba mam na miejscu. A ty kto będziesz? Ciebie to ja chyba w telewizji widział.
— No spójrzcie: globalna wioska, — stwierdził ogólnikowo Zbyszek.
— Ha!? Jaka ona tobie je... balna?! Przyjechał wielki pan w sukmanie i się wyraża. A o Szuczyna to i nie pytaj, dawno siedzi w tym... jak mu tam... Luksemburgu. Ty o naszego Aleha, co to o nim po polsku w „Czasopisie" pisali, że niby wziął i się przebudził? Co za żarty z biednego człowieka! Niech sobie pije, niech i sięgnie dna, ale po co o tym pisać, drukować?! Żebym ja tego Głodowskiego spotkał, już ja bym mu powyrywał!...
— Nie ma tam co mu rwać. „Podlaski Szukszyn", mówię. Spisał o nim wszystko...
— To co on — rachmistrz? A, może ty też? Nie ma tu czego spisywać. Albo pisz, niech będzie: kota mam.
— Miał! — zaprzeczył Maksim na słupku i odwrócił się do rozmówców ogonem.
— Oj, w tym łuzie, przy dolinie, zakwitła kalina... — zaśpiewał raptem Zbyszek. — No, niech by tak śpiewał bohater tego „Przebudzenia", a on tak — „Szumieu kamysz, dziareu'ja hnuliś". Ściągnął, zaraza, mówię, z Szukszyna.
— A noc ta ciemną była! — zakończył myśl Zbyszka Antoś. — Raz— dwa— trzy kalina!
Jak na zawołanie coś zawyło, zapiszczało, i na drodze, wzbudzając tumany kurzu, pojawiła się maszyna z wielką „trójką" wymalowaną na drzwiach. A tam — i Kola, i Kalina, i kamera...
— Jedziemy z Soroczej Nóżki! — powiedzieli Kola i Kalina.
— To i miii po drodze z wami do Golakowej Szyi, — szpyrnął przez półotwartą szybę Maksim i rozsiadł się na kolanach Koli.
I pojechali. A Zbyszek Nasiadko z Antosiem na ławce zaciągnęli:
— Czy ty Jaś, czy ty nie?! Czy ty Jaś, czy ty nie?..

Tłumaczyła Natalia Zofia Lemiesz

Motyczka

Przydreptała Luba z pola z koszykiem młodych kartofli. Powiesiła motyczkę na płocie przy studni. Na koszyk chlusnęła ustaną wodą z wiadra zaczepionego krótkim łańcuchem do żurawia. Przysiadła na kamieniu, zabrała się do obierania kartofli z cienkiej łupiny. Trzeba przygotować obiad. Ileż tych kartofli trzeba dla niej jednej i starego Kostusia. Chłopców nie ma już drugi dzień. Pewnie gdzieś piją. Tacy chłopcy, obaj grubo po czterdziestce. Jedni z najmłodszych we wsi. Pracują na gospodarce. Utrzymują się z matczynej renty, bo z czegóż. Grosza za mleko starcza tylko na podatki. Kobiet nie mają, bo nawet który i miałby, to trzeba byłoby płacić za nią składkę KRUS. A tak to „bykowe" płać, chociaż nie byczki oni, lecz woły! Luba chlipnęła nosem, wytarła go zakurzonym rękawem. Czegóż chlipać, płakać. Wszystkie kobiety płaczą. To z powodu niedobrego męża, to z przyczyny synów. To chata wali się, to płoty się przewracają i nie ma komu ich podeprzeć. A wziąć i któremuś walnąć w durny łeb! Ale po cóż takiego bić — wystarczy tknąć palcem i zwali się jak snop. A Luba ma jeszcze ojca, Kostusia, takiego samego łapserdaka jak jego wnukowie. Tyle że stary całkiem, prawie nie wychodzi z chaty. Ten to do gospodarki ręki nie przyłoży, bo nie ma już siły, ale rządzić chce nadal. Rentę na książeczce trzyma. Zawsze pieniądze nosił przy sobie, na cudze baby wydawał. Lubę, jedyną córkę, pędził do roboty, a razem z nią zięcia, Ziunia, niechaj mu ziemia lekką będzie, choć życie z nim było ciężkie. I ziemię przepisał na starszego wnuka. A teraz w gniewie cedzi przez sztuczne zęby: marnują. Jacyż z nich gospodarze! Niczego nie położą na swoje miejsce!

Nad Lubą schylił się krzywy cień.

— Lubo, umierać będę — wyszeptał ojciec i dotknął jej ramienia chłodną, rabą dłonią. — Wołaj wnuków. Wyjawię im moją ostatnią wolę.

— Chłopców nie ma. Mnie powiedzcie co i jak, tato.

— A tyś co za jedna?!
— Tato, jestem Luba, wasza córka.
— To jest nasza męska sprawa, ty durna babo. Idź precz, szatanie.
— Tato, jak tak można... Przecież opiekuję się wami... Nigdy żeście mnie nie lubili, a ja żem pracowała dla was jak ten koń.
Starzec schwycił Lubę za chustkę.
— Precz, swołocz! Idź do diabła! Tutaj nie ma niczego twojego.
Luba schwyciła motyczkę z płotu, zamachnęła się. Starzec runął jak długi na mokry piasek przy studni.

Tłumaczył Witalis Łuba

Gumiaki

Mańka usiadła na kanapce. Jak zawsze zwaliła się na nią ciężko, z przygnębieniem, nie powiedziawszy ni słówka na przywitanie. Rozpięła wyświechtaną ortalionową kurtkę. Ręce położyła na burej spódnicy. Nogi w grubych pończochach i czarnych gumowych butach wyciągnęła przed siebie na pomalowanej jasnobrązową farbą podłodze. Kanapka pod wąskim oknem kuchni Pilipczej, nakryta ceratą, aż stęknęła pod masywnym, solidnym ciałem Mańki. Mańka zachodziła do Pilipczej po obrządku, tak jak do innych mieszkańców wsi, siadała w milczeniu, o nic nie pytała i niczego nie prosiła. Czekała.
— To co, Mańko, obrządziłaś się? — zapytała Pilipcza. — Teraz to popracujesz rankiem, że ledwie ręce odmyjesz, i znowu trzeba brać się za robotę. Zima idzie.
— Póki człowiek żywy, to i pracować trzeba — pomilczawszy piersiowym głosem przemówiła Mańka.
— Robisz świniobicie?
— A po co bić świniaka, gdy w sklepie wszystko kupić można. Rowerem można podjechać do gminy, nie tak to daleko,
— Albo w sklepie objazdowym, tylko nie wiadomo co przywiozą. Namieszają do kiełbas wszelkiego gówna, a ty jedz. To lepiej samemu świniaka utuczyć. Gdy Julik przyjedzie, szynkę mu podrzucę — brzękała garnkami chudzieńka, przygarbiona Pilipcza. — O, zupę gotuję. Grochówkę. Kawałek wędzonki, a jak smakuje.
— Żeby to było komu gotować! — zaburczała basem Mańka.
— Widzisz, i mój umarł. Przyszła pora.
— Dobry był z niego człowiek.
— Dobry, dobry! — Pilipczej spod ręki upadła pokrywka i z brzękiem potoczyła się po podłodze. — I dla mnie dobry był, i dla ciebie dobry! Oj dobry! Nie daj Boże!
— A kiedy to było!
— Jak kiedy? Wszystkim wam Pilip to piece stawiał, to dachy krył, to

orał. Dobrze orał. O-to-to, lepiej niż na swoim.

Pilipcza zadyszała się. Brzęknęła kopyścią. Spod chustki wysunęły się siwe włosy.

— A co? Może nie?

— Toż to będzie... to samo... Same przecież stoimy nad mogiłą! — Mańka wytarła nos rękawem. — Pilip, twój mąż... dobry był.

— Dobry! Wszystkim wam w dupę właził, jakby w chacie nie dawali!

Pilipcza wytarła ręce, podeszła do kąta i zaczęła szukać czegoś za ikonką.

Mańka swoim zwykłym ruchem zerwała się z kanapki nie zginając kolan. Męskie zabłocone buty zaszurały po podłodze.

Te buty Mańce dał kiedyś Pilip.

Tłumaczył Witalis Łuba

Filip w fasoli

Nie poznał Filip własnego zagonu w rodzinnej wsi. Choć ziemi on nie zapomniał.

Filip z wioski M. w gminie Gródek raz po raz przyjeżdża na ojcowiznę, chociaż od dawna już mieszka w Białymstoku. Jego starym rodzicom, Koli i Nadzi, bardzo długo ani przez myśl nie przeszło, żeby zdawać gospodarstwo, chociaż zaczęło już im się dawać we znaki. Ale oni ciągle pracują, i w dodatku chcą jeszcze obrabiać działki sąsiadów — tu, na urodzajnej ziemi posiali ogórki, fasolę, poletko owsa, tam będzie rzepa... Stary postękując włazi na traktor, a Nadzia toczy się tuż za nim. Nawet tam wciąga swoje bujne, choć już nie tak mocne jak kiedyś ciało. Rok temu Nadzia niefortunnie spadła z traktora i połamała nogę. Kola wtedy zupełnie podupadł na siłach. Gdyby nie pomoc Filipa i jego znajomego (który zresztą wysoko wycenił swoją przyjacielską przysługę...), na pewno nie udałoby się wszystkiego zebrać z pola.

Wtedy dopiero pomyśleli staruszkowie, żeby rzucić to wszystko i w końcu odpocząć. Ale cóż począć! Kiedy tylko przygrzeje wiosenne słońce, w powietrzu rozejdzie się znajomy zapach świeżej ziemi i gnoju, a gdzieś wysoko zadźwięczy skowronek, Kola Pieczkur ożywa: biega po podwórku, jeździ tu i tam, załatwia gospodarcze sprawy, orze... Aż serce boli, kiedy widzi, ile dobrej ziemi się marnuje! I znowu nabierze ziemi, a nawet nieproszony robi to, do czego nikt się nie chce przyznać, oczyszcza dawno zapomniane poletka. Inni mieszkańcy przyglądają się tylko i szepczą na ławeczkach: na co Pieczkurom ta robota, ta ziemia? Te ziemniaki, pszenica, żyto, owies, te hektary jęczmienia, buraków, ogórków? Te krowy, owce? Dzieci przecież wszystkie w mieście, mieszkania im rodzice kupili, a teraz jeszcze wnukom ze wsi pełne torby wiozą... A synowa, żona Wasi, i tak teściową „kacapką” nazywa! Torby to prawie pękają, tyle im wszystkiego ciągną. Ciekawe, czy gdyby nie te gościńce, byłoby po

co interesować się starymi?.. Komu to wszystko zostawią, tę całą gospodarkę? Tylko Filip, kiedy przyjedzie, pracuje jak szalony — wdał się w rodziców. Zamiast jechać gdzieś na wczasy — wciąż tylko pole i pole. Taka dobra u Pieczkurów ziemia, ale przecież nikomu nie potrzebna: ani trzem córkom, ani dwóm synom. Nawet Filip mówi: „Tatku, a po co mi ona? Mam dobrą posadę, awansuję. Tato, mamo, oddajcie wszystko, a starczy wam pieniędzy na wygodne życie. Odpoczywajcie. U nas, w mieście, i tak nie byłoby was gdzie wcisnąć, gdybyście się rozchorowali. Mieszkania małe, dzieci dużo... Lepiej żyjcie tutaj, w dobrym zdrowiu, oddychajcie świeżym powietrzem. My przecież i tak będziemy was odwiedzać." I rzeczywiście, dzieci dzwonią, pytają o zdrowie, kiedy tylko matula dłuższy czas nie zjawia się w mieście.

W zeszłym roku w M. zdarzyła się taka historia, że do dziś ją ludzie ze śmiechem wspominają siedząc wieczorami na ławeczkach. A wszystko przez Filipa i fasolę. Kola zasiał pięć poletek fasolą — trzy swoje i dwa u sąsiadki. Fasola wyrosła bujna, wysoka, z mocnymi strąkami; tu, na byłym torfowisku, wszystko dobrze rośnie. Filip przyjeżdżał, trzy razy pełł tę fasolę, zamocowywał ją na kołkach, podwiązywał — na wszystkich zagonach. Chłopak o wszystko tak dba na gospodarce — nawet ziarenko u niego nie zginie. A przyszedł czas, i pracowity syn zebrał plon.

Filip wyrwał fasolę, kołeczki równiutko poukładał na miedzy. Złożył wszystko na kupkę i poszedł po worek. Przychodzi — a tam, na zagonie, który tato wydzierżawił od Kowalichy— pustka! Cała fasola zniknęła! Filip przybiegł do domu, trzymając się za głowę.

Ależ się zezłoscił Mikoła! Zrobił się czerwony, jak indyk — to stara Kowalowa zabrała, nie inaczej! Pomyliła się, czy specjalnie zaczaiła, żeby ukraść plon, zebrany z jej ogrodu!?

Piaczkur pobiegł do sąsiadki, załomotał w sieniach, walnął pięścią w drzwi. Kowalowa właśnie wysypywała popiół z pieca i tak się wystraszyła, że aż wypuściła z rąk popielnik. A dobry sąsiad jak nie wczepi się w siwy koczek na jej biednej głowie!

— Czego ty, Kola, chcesz? Jaka fasola? Przecież twoja fasola stoi na grządkach, cała w zielsku! Nikt go nie wyrywał, aż szkoda było pat-

rzeć. Sama już myślałam, czy by nie wypielić, ale chwasty wyrosły wyższe ode mnie, to jak tam z laską pójdę?! Trzeba było tego swojego Filipa przysłać, a nie mnie teraz za włosy targać! Zaraz pójdę do sołtysa i każę po policję dzwonić! Ano puszczaj, paskudniku!
A więc to tak! Filip dawno nie widział obu sąsiadek, a i po dwudziestu pięciu latach zapomniał, która z nich to Mańka Kucińska (we wsi mówią na nią „Kowalicha"), a która — Marusia Kowal, Kowalowa.
Kowalicha — szczęśliwa — jakiś dobry człowiek zajął się jej fasolą: nie tylko dokładnie pełł, podwiązywał, ale nawet pozbierał. Cóż jej pozostało — wzięła płachtę, zabrała plon i zaniosła do domu. A fasolę, którą wiosną posiał Kola Pieczkur, zarośniętą lebiodą, perzem, pokrzywami i strach pomyśleć, czym jeszcze, ledwo biedny Filip wydarł.
Cała wioska się zbiegła, nawet staruszkowie o laskach przydreptali, żeby popatrzeć, jak białostocki pan buszuje po zagonie.

Tłumaczyła Natalia Zofia Lemiesz

Abadurki

Frankowi Abadurce znowu nie dali renty. Tym razem najadł się surowych ziemniaków i wypił litr gęstej czarnej kawy. Ledwo trzymał się na nogach przed komisją, ale oni już nie takich „chorych" poznawali. Ostatnio jednym słowem i kilkoma podpisami podnoszą z łóżek umierających klientów firm ubezpieczeniowych albo w cudowny sposób uzdrawiają beznogich i bezrękich. Co tam bezzębny Franek Abadurka! Chłopiec ładny, wygląda, jak to u nas mówią, *zdorovo* — wysoki, dobrze zbudowany, rumiany na twarzy. Tak naprawdę — ni to chory, ni to zdrowy. A każdego przecież może dopaść słabość. Na wilgotnej ziemi poleżeć starczy. Dać mu jeszcze dwa-trzy lata, a sam skończy się w swoim towarzystwie wioskowych starych kawalerów.
Renta przydałaby się Franusiowej gospodarce, oj, przydała!.. Byłoby za co zjeść i wypić, bo nie trzeba by płacić ubezpieczenia. Kiedy jeszcze żyli dziadek z babką, wiązało się koniec z końcem. A teraz, z siostrami, Adelką i Melą, co to pracę w mieście straciły na parę lat przed przejściem na emeryturę, muszą jakoś sobie radzić. To siostry wyprawiły Franusia do doktorów. A on mówi: poszłyby za mąż. Mało to kawalerów we wsi? Adelka i Mela przyglądały się nawet kolegom Franusia, ale jakoś żaden im się nie spodobał. Kiedy już któryś był nawet przystojny, to bywało, że, wypiwszy, biegał taki z nożem czy siekierą dokoła sklepu, sąsiadów straszył. Żeby chodź ludzcy byli, zgodliwi, jak ich Franuś. Kiedy już wypije, to płacze, sam siebie i drugich żałuje, bić się nie rwie.
Czekając na brata z komisji, siostry przygotowały powitanie. Zarżnęły trzy kurki, upiekły ziemniaczaną babkę, ugotowały jajek, nacięły ogórków i pomidorów. A kawalerzy, koledzy Franusia, przynieśli pięć butelek wódki, kupionej u pradsiadaciela z Mostów, byłego kołchoźnika, który teraz jeździ po Białostocczyźnie i rolnikom nietutejsze towary sprzedaje. Będzie bal u Abadurków!
Z autobusu Franuś wywlókł się cały przepocony, zmęczony. Już po

chodzie widać było, że nic nie wskórał. Ale każde wieści, i dobre, i złe — zawsze to okazja napić się i zapłakać — czy to z żalu, czy z radości.

— Nie dali! — Franuś zaszurał krzesłem, podsuwając je do stołu w letniej kuchni. — Oby na ich pohybel! Darmozjady! No, ale dosyć smutków — nalewajcie!...

Sześciu dziarskich chłopców, zasiadłszy po obu stronach stołu na kulawych kanapkach, wzniosło szklanki, zachrupało ogórkami.

Okazja smutna, ale choć taka jest. Jest do kogo gębę otworzyć, nie pijesz do lustra. Nawet Abadurczanki nie odmówiły kieliszeczka.

Następnego dnia rano Franuś się nie zbudził. Widzicie, nawet gdyby tą rentę przyznali, to by i tak nie skorzystał. Pisane mu już było umrzeć w czterdzieści pięć. Jak mówią Hindusi — karma taka u człowieka, tak mu było pisane.

Tłumaczyła Natalia Zofia Lemiesz

— Tadek, narysuj mi na suficie słońce i chmury, kiedy już będziesz malować — powiedziała babcia Dosia. Kiedyś sama przed każdym świętem bieliła belki, maczając w miseczce z glinką cienki pędzelek z rzecznej trawy. Ale świętej pamięci Sidor równo obił je płytą, pomalował chabrową olejną farbą i kłopot bielenia znikł na zawsze. Ale kiedy to było? Dziś farba już zeszła i sufit znów trzeba było pomalować. Pieniądze Dosia miała. Z renty, niewielkie, ale na taki remont wystarczy. Dużo nie było trzeba, sama wszystko zeskrobała i umyła, ale sufitu przecież nie pomaluje, na drabinę nie wlezie! A żeby ciekawiej było — to dawaj, Tadek, słońce i obłoczki! To przecież wcale nie trudne.
— Jestem malarzem pokojowym, a nie jakimś artystą — uniósł się honorem Fiedia Barbuszyn. — Słońce i chmury! Księżyc może jeszcze namalować?! Kto to widział, co za pałace! Nie ma mowy!
— A co, nie możesz? — zdziwiła się babulka. — Przecież nawet dziecko: słońce, pierwsze, co maluje, bo widzi! ...No — butelkę dam.
— Ani za pieniądze, ani za butelkę — na taką durnotę na drabinę nie włażę! Dziękuję bardzo! Śmieszna z was kobieta, babko Dosiu.
— Przecież w razie czego nie z ciebie się będą śmiać, tylko ze mnie, głuptasie. Namalujesz dobrze, to i pochwalą jeszcze.
— Jak chcecie, to wam może za butelkę namalują ci studenci, co to u Karpa mieszkają. Ci to lubią pożartować! W dodatku, zagraniczni, chociaż i po naszemu rozmawiają.
Babulka, podparłszy się na kołeczku, podreptała więc do młodych. A malować, jak się okazało — naprawdę umieli, przyjechali w końcu z akademii, z Mińska. Rozmalowali na babczynym suficie i słońce, jak żywe, południowe i gorące, pierzaste białe obłoczki, i szare chmury, i takie różowawe, jak gdyby podczas zachodu, a wśród nich nawet samolocik ciągnie za sobą białą cienką smużkę. A nad piecem — młodziutki srebrny sierp wśród gwiazd.

Cieszyli się, śmiali się. A Dosia, leżąc teraz, schorowana, wspomina tę radość, ten śmiech, patrząc na swoje niebo.

Tłumaczyła Natalia Zofia Lemiesz

Spis treści

Redaktor: Adam Siemieńczyk

Tłumaczenie z języka białoruskiego: Maria Bołtromiuk, Natalla Gierasimiuk, Sokrat Janowicz, Natalia Zofia Lemiesz, Alina Leoniewska, Oleg Łatyszonek, Witalis Łuba, Jan Maksymiuk, Diana Nachiło, Jerzy Nachiło, Jerzy Plutowicz, Eugenia Połocka, Anna Sobecka, Wiktor Szwed, Aleksander Wierzbicki

Skład: Adam Pawłowski
Fotografia na okładce: Aleksander Wierzbicki

ISBN 978-83-7657-129-4

Białystok 2013



Wydawnictwo PRYMAT Mariusz Śliwowski
ul. Kolejowa 19, 15-701 Białystok
tel. 602 766 304
e-mail: prymat@biasoft.net
www.prymat.biasoft.net